NUMER ŚWIĄTECZNY.

Nr. 4. Kraków, kwiecień 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie . „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

OD REDAKCYI.

Wesołego i najprzyjemniejszego przepędzenia Świąt

życzymy Wam Szanowne i drogie Czytelniczki i Czytelnicy „Przodownicy“, a jako podarek świąteczny ofiarowujemy Wam podwójny dodatek powieściowy.

Niech będzie uwielbiony!

Teraz i czasy wszystkiemi,
Ten, co po wiekach znoju,
Chlebem się łamał pokoju,
Mieszkając tu na ziemi.

Niech będzie uwielbiony!

Sławą, co grzmi przez światy,
Gdy rzesze ludu całe,
Chwytając kraj jego szaty,
Palmy mu słały i kwiaty,
Pod stopy Jego białe.

Niech będzie uwielbiony!

Zdradą, onego ludu,
Co u stóp Jego żebrzący,
Łkał światła i zdrojów cudu,
A kiedy gasło ich słońce,
Te rzesze stały milczące.

Niech będzie uwielbiony!

Przez tych co sercem czyści,
Przez tych co duchem prości,
Co łamią chleb miłości,
Bez zdrad i nienawiści.

Niech będzie uwielbiony!

A. Bandrowska.

ALLELUJA!

Alleluja! Wielkie Święto,
Dzwonią dzwony i pieśń gwarzy,
Wieńce kwiatów, świateł roje
Lśnią w kościołach u ołtarzy.

Wszędzie radość i wesele,
Mnóstwo życzeń słychać w koło,
Każdy zmienił z serca troski
I rozjaśnił moje czoło.

Bracia nasi! I my stajem
Z życzeniami w gości rzędzie.
I my wiązkę skromną dajem,
Co Bóg zeszle, to niech będzie.

Byle tylko żyć uczciwie,
I nie splamić grzechem ducha,
Wytrwać w pracy swej gorliwie,
A ustąpi ta noc głucha.

Niechaj każdy z nas pamięta,
Że kraj na swe dzieci czeka,
Gdzie młódź żyje w cnocie święta,
Tam niedola jest daleka.

Więc na młodzież zwróćmy oko,
By urosła nam na chlubę...
Zwróćmy myśli jej wysoko,
A wnet plony wzejdą lube.

Alleluja! Dzień wesoły...
Niech powstaniem będzie z winy,
Nas nie straszą trud, mozoły,
Dla nas szczęściem zacne czyny.

Kochać Boga, kraj i ludzi,
Znać swą przeszłość, cnotę chować,
Pragnąc pracy, choć wśród troski,
Tę Ojczyznę dziś miłować.

Zrzucić z serca gniewy, żale,
Jest to uczcić dzień świąteczny.
Żyjmy w zgodzie i miłości,
Dzień wesela będzie wieczny.

Jadwiga z Łobzowa.

Niewiasty gallilejskie.

Działo... Niebo z mlecznozielonego stawało się różowem. W mgłach fioletowych spoczywały jeszcze wzgórza jerozolimskie, pałace i ogrody, kiedy od bram miasta spieszyła gromadka niewiast. Była to Marya z Magdali, Marya Jakóbowa, Joanna, Salome, Weronika i inne. Wiatr wschodni przypadał od gór i unosił w powietrzu białe ich zasłony, odkrywając głowy, a przy wschodzącej dnia jutrzence, widzieć było można, oblicza ich wybladłe i łez ślady, które mówiły o bezsennych, na płaczu spędzonych nocach i o wielkim, nieukojonym smutku.

Były one przy męce i śmierci ukochanego swego Mistrza i właśnie rozmawiały o tem, niosąc z sobą wonności i drogie olejki, któremi chciały namaścić w grobie zwłoki Zbawiciela.

Lubo sercami wszystkich uczni i wyznawców Chrystusowych żal zatrząsł srogi, jak kiedy burza zatrząsa drzew konarami, żadne jednak nie bolały tak szczerze i głęboko, co serca niewiast gallilejskich. One bowiem były najgorliwszemi służebnicami nauki Mistrza — siadywały zwykle u nóg Jego, słuchając chciwie słów, które nowe światy otwierały przed niemi.

On pierwszy powiedział im, czego dotąd nikt nie mówił, że posiadają duszę, otworzył oczy ich na dobro wieczyste, a zamknął na to, co ziemskie i znikome. Wiedziały zatem, że nie tylko krasa i młodość, trwające tyle, co kwitnienie kwiatu na łodyce, mogą je radosnemi i szczęśliwemi uczynić, ale i duszy uroda, która jest niby kwiat nieśmiertelny. Mówił o miłosierdziu, dobroci, jako o najcenniejszych skarbach tej duszy, i o miłości, co nie zna zmiany, zdrady, ni rozłąki, bowiem jest trwalszą ponad ciał związki — i o tej drugiej, co na kształt kręgu słonecznego, ogarnia promieniami i miłuje świat cały.

I przychodziły doń te, które dźwigały brzemię obowiązków nad siły, a na plecach nosiły ślady od razów, zadanych im ręką silniejszą.

I przychodziły matki w trosce serdecznej, przywodząc mu dziatki swe, by je pobłogosławił.

I przychodziły oblubienice młode, których serca otwierały się do życia, jak się otwiera kielich kwiatu na światło słoneczne.

I przychodziły w perłach na szyi, z utrefionym włosem, nardem [1]) pachnące grzesznice.

I przychodziły inne, nawiedzone tęsknotą za światłem i prawdą...

A on kładł ręce na wszystkich tych głowach biednych, smutnych, upadłych i niewinnych, a słowa Jego padały na dusze, jako garście róż białych na powietrze skwarne, lub promień słońca w głąb ciemnej, smutnej wody.

I radowały się serca niewieście, jako ptastwo leśne za nastaniem wiosny.

I rozkwitały czoła drugą młodością dni weselnych.

I brzemię swe znosiły lekko dla miłości Jego.

I uśmiechały się oblubienice na myśl związków wieczystych.

I zrywały grzesznice perły z szyi swej i ciskały je w proch pod nogi Jego, myjąc je łzami żalu i pokuty.

I oto nagle ta radość, światło, prawda i ukochanie zgasło dla nich, tam — na wzgórzach Kalwaryi — a słońce dnia zaćmiło się od żałości nad ziemią-pustynią.

— — — — — — — — — —

Największą była boleść Maryi z Magdali, oczy jej ogniste, niby dwie żagwie zapalone u słońca świtu, nie osychały z łez... On dał jej grzesznej przebaczenie win — ona też, stojąc pod drzewcem krzyża, zawodziła najgłośniej, rwąc długie pasma swych złotych włosów z żalu.

I oto teraz, gdy idzie w ciemno szarej opończy, przepasana sznurem, gwałtowne łkanie wstrząsa jej młode, burzliwe piersi. Weronika tylko w cichem skupieniu jakby promieniała przez łzy. Wzrok jej łagodny, niby błękit wieczoru, błądzi wysoko ponad wzgórza oliwne, gdzie się zapala świt dnia, a do głośno bijącego serca przyciska skarb nad skarby — wizerunek Mistrza, krwawą Jego głowę, odbitą na chuście, którą otarła oblicze, pod krzyżem upadającemu.

Ogrojec Józefa z Arymatyi leżał niedaleko „Wzgórza Śmierci“. Panowały w nim jeszcze mrok i cienie, tylko smuga koralowa, przeglądająca z poza ciemnych cyprysów, zwiastowała rychłe ukazanie się dnia. Chłód wiał od zacieni oliwnych, któremi grota skalna otoczona była. Wielkie krople rosy drżały na liściach drzew.

— Kto nam kamień z grobu odważy?...

[1]) Nard — pachnidło wschodnie, przyrządzane z drzewa tejże nazwy.

— Żali straż nas przepuści?... — Troskały się, idąc niewiasty w drodze.

Kiedy przybyły na miejsce, straży nie było, kamień leżał odwalony, a gdy zajrzały do wnętrza groty, próżna była, tylko prześcieradła i chusty, w które ciało owinięto, leżały opodal. Żałość niewymowna ścisnęła serca niewiast, albowiem nie wiedziały, coby się stało. Pobiegły do niedaleko mieszkających uczni, Piotra i Jana z lamentem, że ktoś znieważył grób i zabrał ciało. Z czołem, opartem o głazy, pozostała tylko Marya Magdalena, łkając głośno. W tem usłyszała cichy, dobrze jej znany głos:

— Maryo, czemu płaczesz?...

Podniosła głowę i przez łzy ujrzała postać ukochanego Mistrza.

Z okrzykiem niewymownego szczęścia rzuciła się do nóg Jego i okrywała je pocałunkami i oblewała łzami, wołając:

— Mistrzu!... Mistrzu... uwielbiony!...

A On rzekł:

— Żali nie mówiłem ci, że trzeciego dnia zmartwychwstanę. Idź i powiadaj to uczniom moim — zaczem znikł jej z oczu.

— — — — — — — — — —

Ogromny, złoty krąg słońca wytoczył się z poza przełęczy gór. Skowronki z radosnem śpiewem wzlatywały ponad pola ryżowe; z dolin Jordanu płynęła woń hyacyntów, kiedy niewiasty wracały do Jeruzalem, pierwsze niosąc radosną wieść o Zmartwychwstaniu! Światło, prawda, miłość, życie, wszystko Dobro świata, powstało z mar i w różanym dnia blasku niosło się nad uszczęśliwioną ziemią, zwiastując jej nową erę — Nieba na ziemi.

Adela Bandrowska.

WIOSNA.

Idzie, idzie już królewna
Z daleka, z daleka,
Zima biedna, staruszeczka,
Przed nią wciąż ucieka.

Stary dziaduś, mróz srebrzysty,
Niknie jak mgła ranna,
Jak już znikło zimno ostre,
Ślizgawka i sanna.

Idzie, idzie już królewna,
Wiosenka kochana,
I wróbelek już świergoce
Piosenkę od rana.

Stara wierzba swe gałązki
Do słońca nagina,
Resztki lodu z siebie strząsa
Pochyła brzezina.

Na mogiłach sucha trawka
Budzi swe listeczki,
A z chat główki wychylają
Dzieci, jak kwiateczki.

Idzie, idzie już królewna
Szemrze wiatr radośnie,
A nowinę tę powtarza
Każdy z nas rozgłośnie.

Byle tylko nam przyniosła
Szczęścia błyski złote,
A stopiła z resztą lodu
Smutki i tęsknotę.

Byle tylko nam przyniosła
Choć promyk miłości,
A zasadła po wszech niwach
Cudny kwiat jedności.

Byle tylko wygubiła
Wraz z lodem leniuchów,
A zasiała pracowitych,
Tęgich, pilnych zuchów.

Toćby była wiosna luba,
Byłoby wesoło...
Idzie, idzie już królewna,
Tę wieść słychać wkoło.

Jadwiga Z.



Znaczenie kobiety pracującej
w domu, w rodzinie i społeczeństwie.

Mężczyzna pracujący, gdy chce zacząć życie osiadłe, gospodarne, rodzinne i utworzyć dom, to jest własny kątek na świecie, szuka żony — współpracowniczki i gospodyni.

Bez pracy i rozumu kobiety, dom i rodzina istnieć nie może, o tem wiemy wszyscy. Gdy gospodyni choruje, lub jest zła, głupia, leniwa, gospodarstwo upada. Więc kobieta jest koniecznie potrzebna w domu i pilnując ładu, oraz nadając kształt wewnętrzny gospodarstwu, ma w niem duże znaczenie.

Dawniej mówiono, że mężczyzna ciężko zarabia i gromadzi zapasy, a kobieta lekko wydaje i zużytkowywa. Dziś nauka gospodarstwa spółczesnego głosi, że mądre gospodarstwo dzieli się na dwie równe prace: na przysparzanie i gromadzenie zapasów i na rozsądne, wyrachowane ich zużytkowanie. Otóż ten drugi dział gospodarczy jest i był zawsze w rękach kobiety. Jeżeli gospodyni wydaje zarobek męża z korzyścią dla rodziny, dla przyrostu jej sił, zdrowia i rozumu, to odrabia znaczną część trudu. Tak dzieje się w rodzinach miejskich, gdzie często mąż sam tylko zarabia na utrzymanie rodziny, a żona pracuje dla domu i gospodarzy zarobkiem spożycia. Uczeni przy badaniu, ile rodzina na siebie wydaje, czem się teraz nauka społeczna zajmuje bardzo poważnie, uważają godziny pracy kobiecej koło domu i dzieci, jako godziny zarobkowe i na pieniądze obliczają. Więc i ta praca ma wartość taką, jak praca mężczyzny.

W gospodarstwach wiejskich żona jest przytem i wytwórczynią. Ale co to jest wytwórca?

Każdy wytwórca coś wytwarza; z materyału, będącego w przyrodzie, przez pracę jego powstaje rzecz, która przedtem nie była — jest więc wytwórcą i może osiągnąć cząstkę boskiej mocy stwarzania. Ten właśnie błogosławiony skutek pracy twórczej, wyróżnia go od zwierząt i życie jego na ziemi czyni wygodnem i pięknem.

Miano wytwórcy jest najdostojniejszą nazwą człowieka, ale należy się tylko godność ta, pracującemu.

W gospodarstwie rolnem, gdzie ciągle pracuje się dla jakiegoś przyrostu w ziarnie, jarzynach, owocach lub w przychowku, staraniem kobiety wiele się tworzy. Jej pracą obsiany, opielony ogród warzywny; w oborze,

chlewach i kurnikach przyrasta mięsa zwierzętom, zwiększa się ilość nabiału. Ona ze lnu i wełny wyrabia płótna i sukna.

Często też kobieta idzie na zarobek i wtedy dźwiga podwójną pracę: zarobkową w polu lub fabryce i gospodarkę w domu, do której poczuwa się zawsze.

Kobieta, wyrobnica jest we wszystkiem równa wyrobnikowi, jeżeli jednakową z nim spełnia pracę i upośledzenie jej w zapłacie jest krzywdą nieuzasadnioną. Przy pracy, wymagającej wielkiej siły i odwagi, ustępuje mężczyźnie i nawet do niej nie staje, ale wiele jest działów pracy, w których kobieta przez swoją wytrwałość, akuratność, cierpliwość, przewyższa mężczyznę. Często kobieta pomaga w przedsiębiorstwie mężowi, w sklepie, rządzi w warsztacie, w domu żywi jego pomocników, terminatorów. Kiedy indziej znów prowadzi sama interes, pracownię. Wtedy zupełnie jest w pracy swej równa mężczyźnie.

Widzimy więc, że kobieta, jako gospodyni domu, jako szafarka zarobku męża, jako wytwórczyni w gospodarstwie wiejskiem, jako wyrobnica, zdąża obok mężczyzny i ma prawo wspólnie z nim radzić o wszystkich sprawach.

Ma przytem jedną osobliwą, wyłączną pracę, która nie pozwala jej często na spełnianie innych prac w gospodarstwie społecznem, ale jest nie mniej cenna i błogosławiona.

Oto kobieta daje życie dzieciom i odnawia ludzkość. Jest i tu wytwórczynią; z materyału, który daje przyroda matce, w postaci małego dzieciątka, ona wytwarza człowieka przez pracę swoję, miłość i rozum. Pomaga jej w tem ojciec, ale największy ciężar spada na kobietę.

Tyle do spełnienia ma na świecie kobieta, a bywa często tak słaba, cierpiąca, że aż litość budzi. Nie jednak od przyrody w niczem niższa od mężczyzny, ani też upośledzona w rozumie. Dotąd dawała sobie radę z domem i dziećmi i odbywała pracę, której ważność oceniliśmy. Teraz nauka, która ogarnia coraz więcej ludzi dobroczynnym swym wpływem, nauczy kobietę pracować lepiej i pożyteczniej.

Gdy więc kobieta przez pracę swoją wyłączną, konieczną dla ludzkości, uzupełniając pracę mężczyzny, zajmuje tak poważne miejsce w społeczności ludzkiej, słusznie należy się jej równe prawo, uznanie i więcej jeszcze: powszechna pomoc i współczucie w trudach macierzyństwa.

Dziewczynie zaś młodej należy się nauka i wychowanie staranne, aby wyrosła na wzorową kobietę. *W. Podgórska.*

Historya małej posiadłości rolnej (włościańskiej).

(Ciąg dalszy).

W 13 wieku najście Tatarów spustoszyło całą Polskę, ludność wieśniaczą spędziło z ziemi, spłoszyło. Część ludności była uprowadzona w niewolę, w jasyr, inna po puszczy się kryła. Gdzieniegdzie tylko, poza szlakiem tatarskim, ocalały wsie i osady.

Po uspokojeniu pierwszej zawieruchy, książęta zaczęli energicznie radzić o zaludnieniu ziemi, odłogiem leżącej. W tym czasie ludność Fryzyi i Flandryi szukała miejsca na osiedlenie i Zakonnicy w Sobótce, Flandryjczycy, sprowadzają tych obcych osadników. Za Fryzami idą i Niemcy gromadnie do Polski. Biskup płocki, rodem Niemiec, zaludnia swe posiadłości Niemcami. To czynią i inni panowie duchowni i świeccy. Osadnicy przynoszą ze sobą pług żelazny, trochę lepsze ziarno do siewu i większą znajomość rolnictwa. Ziemię biorą w użytkowanie na zupełnie innych warunkach, niż ją mają polscy kmiecie.

Niemcy biorą ziemię jakoby w dzierżawę, zawierając umowę z panem. Zwykle w tem pośredniczył energiczny człowiek, zwany osajczą albo osadcą. On to w imieniu całej gromady umawiał się z panem o czynsz i odrobek, wymierzał i dzielił ziemię. W nagrodę swych zasług dostawał na własność kawał gruntu i mógł pobierać dochody z karczmy, z piekarni, szósty denar z czynszu i miał prawo polowania i łowienia ryb. Jednocześnie sprawował urząd starszego, był opiekunem nowej wsi i dziedzicznym jej administratorem. Obowiązany był tylko wychodzić na wojnę z pachołkiem, co mu służyło często do zdobycia szlachectwa i do wzbogacenia się. Zwał się sołtysem z niemieckiego Schultes.

Takie wydzierżawienie ziemi pańskiej nazywało się osadnictwem na prawie niemieckiem. Ludność ta obca rządziła się i sądziła wedle praw swoich.

Dział ziemi dla pojedynczych osadników nazywał się z niemieckiego Łanem. (Łan frankoński miał 60 morgów, flandryjski 30 morgów. Pustkowia mierzyli na łany frankońskie). Łan (Lohn) mierzył się na morgi,

jutra, to jest tyle ziemi, ile rataj mógł przez ranek, do południa oborać i stąd od jutra morgen pochodzi morg.

Odrobek był nie wielki, bo folwarków pańskich jeszcze w wielu wsiach nie było, tylko około dworu szmat ziemi uprawnej na wyłączny użytek pana.

Najczęściej pierwsze lata były wolnizną od czynszu (płatu). Dopiero po kilku latach zagospodarowania się panom, wnoszono czynsz, a dziesięcinę kościołom.

Tych osad obcych było pewnie nie wiele, bo po nich nie zostało nawet śladu w języku i obyczajach ludowych, ale nowe prawo podobało się panom i ludności miejscowej.

Ludzie wychylali się z lasów, gdzie ukrywali się przed Tatarami i brali ziemię na prawie niemieckiem. Stosunek ten oparty na wzajemnej umowie miał pewną czystość w sobie i w owe czasy zamętu skłaniał ku sobie umysły ludności rolniczej, a panom dostarczał pieniędzy i pewnych darów, jak kury, len, skóry zwierząt.

Były więc osady nowe na tem prawie niemieckiem. Często wsie polskie przenoszono na prawo niemieckie, zdarzało się, że połowa wsi była na prawie niemieckiem, druga na polskiem. W ziemiach, zamieszkanych przez Rusinów, wsie, na prawie miejscowem istniejące, nazywały się na prawie ruskiem. Tam znów powstawały liczne osady wołoskie na prawie wołoskiem i te posiadały swój samorząd gminny i starostę, zwanego kniaziem.

W tym porządku było jedno złe dla pana gruntu, że często po wyjściu lat wolności, osadnicy uchodzili na inne grunta, aby korzystać z nowych praw wolnizny. Bywało tak, że cała wieś opustoszała naraz. Panowie więc zabiegają u królów o pomoc i Kazimierz Wielki, choć Królem Chłopów zwany, w statucie Wiślickim czynszownikom z ziemi uchodzić nie pozwala, na rok najwyżej wyjść mogło dwóch kmieci i to pod warunkiem, jeżeli dali zastępcę za siebie, zostawili pola obsiane i zabudowania w porządku. Jeżeli jednak nad panem zaciążyła klątwa kościelna, lub pan gwałt uczynił wieśniaczce, wszyscy odejść mogli.

Prawa wiślickie ustanowiły dla osadników sądy krajowe z wybieralnych sołtysów, jednocześnie przywileje tych sołtysów ograniczając, uznając ich za sługi panów włości. Krnąbrnego sołtysa pan mógł wyzuć z solectwa i ze wsi wypędzić.

Osadnicy dochodzili do wielkiego dobrobytu, dobrze się działo i wsiom. przeniesionym na prawo niemieckie. Powstawały ludne miasta, tam to osadnicy i kmiecie sprzedawali produkta rolne, zbierając tym sposobem pieniądze na czynsz.

Wsie tedy tak urządzone istnieją do dziś, tylko zamożność dawna zniknęła. Panowie nie dotrzymali pierwotnej umowy.

W tych czasach zmieniać się zaczął byt szlachty. Wojna swymi łupami już ich nie żywiła, każdy oglądał się za cichym bytem, gdzieby zużytkować mógł swe siły.

Tymczasem po Wiśle ku Gdańsku płyną statki ze zbożem chłopskiem, które skupują handlarze obcy. To naprowadza panów na myśl, że rolnictwo przynosi duże dochody, tem bardziej, gdy po zawarciu Toruńskiego pokoju przystęp do morza otwarty dla Polski.

Koło dworu są jeszcze niezwykłe pustkowia, za gruntami osadników leży pańska puszcza, błota często. Otóż szlachta swojej czeladzi. do posług wojennych używanej, tę puszczę każe wyczyszczać, błota suszyć, nieużytki uprawiać. Zwołuje łazęgów, nakazując im za wyżywienie obsiewać nowiny i produkować zboże. Karczemki te między wsią i dworem uważa za bliższą swoją własność, niż ziemię osadników. Jestto ziemia przez niego wypracowana, jeżeli nie własnemi rękami, to rozumem i wolą jego.

Tak powstaje folwark, ziemia pańska, ciągnąca się od dworu do wsi i znów poza wsią aż do granic posiadłości pana. Ziemia ta zwiększa się, wbija często klinem w grunta osadników, bo pan bierze spuściznę po kmieciu zmarłym bezpotomnie, często zabiera grunta po wypędzeniu krnąbrnego sołtysa, czasem kupuje sołtysostwo. Z solectwem obejmuje władzę nad gromadą. Statut Warteński czyni sołtysa tylko włodarzem pana. Bywało często i tak, że sołtys uszlachcony na wojnie, zbogacony, zaczynał uważać ziemię gromadzką za swoją, zbierać czynsz i ciężkie rządy narzucać chłopom. Zdarzało się to wtedy, gdy pan włości gdzieś zginął na wojnie lub w niewoli. W owych czasach urabiania się narodu polskiego, zamęt bywał wielki w stosunkach stanowych i ciągle nowi ludzie z nowemi siłami przybywali i wzbogacali stany wyższe.

Panowie, posiadając folwarki, już pilnie domagają się owego odrobku w umowie wzmiankowanego, ten odrobek coraz powiększają, jednocześnie zdobywając coraz większą władzę nad ludnością wiejską i sądy nad nią sprawując.

Tak powstała trzecia z rzędu forma władania ziemią: Folwarki panów obrabiane przez czeladź dworską i osadników, wychodzących ze swoim sprzężajem na robociznę dla pana. Robocizna ta zwiększa się z latami coraz bardziej, aż dochodzi do tego, że kmiecie muszą obrabiać tyle pola pańskiego ile sami dzierżą, np. kto miał 15 morgów, panu musiał także piętnaście morgów zasiać i zebrać.

Obok folwarków dworskich są działy chłopskie wzięte w użytkowanie, z których muszą gospodarze dawać panu czynsz lub odrobek i dary w naturze. Ten porządek władania ziemią przetrwał, aż do uwłaszczenia włościan, przez pięć wieków prawie.

(D. c. n.)

Od wroga — nie biorę.

Było to w pamiętnym 1794 roku.

W tym roku, który nazywamy Kościuszkowskim, w roku, pełnym wspomnień o naczelniku, o jego męstwie i bohaterstwie, a zarazem i o tych wielkich wojownikach, którzy walczyli pod wodzą naczelnika i chcieli Polskę uwolnić z przemocy.

W tym roku, w Warszawie, mieszkał moskiewski jenerał Chruszczew.

Kiedy Kiliński w Wielkim tygodniu stanął na czele powstańców w Warszawie, wtedy wyczyścił miasto i Moskali wypędził co do jednego.

„Od Wielkiego czwartku
Do Wielkiego piątku
Nalali Moskalom
Ołowiu jak wrzątku...
Biją w Wielki czwartek,
W Wielki piątek biją...
Oczyścili miasto —
Na rezurekcyją..“

A kiedy trzepali siarczyście i ogniście — tak jenerał Chruszczew uciekał bez tchu, nie myśląc wcale o tem, ażeby i swoją żonę zabierać z sobą.

Została w Warszawie pani jenerałowa, a pan jenerał szuka drogi, którąby mógł żonę wywieść z Warszawy.

Wreszcie udaje się z pokorną prośbą do Kościuszki i błaga go w liście przesłanym przez trębacza, ażeby pozwolił jenerałowej z Warszawy wyjechać.

Szlachetny bohater Kościuszko odpisał uprzejmie Chruszczewowi i powiada:

— Wyście naszych porywali i wywozili w odległe więzienia, wyście znieważali prawa narodu, z łona familii, z domów brali najszlachetniejszych obywateli, jednak my was nie chcemy naśladować. My mamy uczucia ludzkości w sercach wyryte i zbrodni nie popełniamy.

Następnego dnia, t. j. 20 lipca, wyjechała pani jenerałowa z dziećmi; trębacz Kościuszki odwozi familię Chruszczewa i czuwa, ażeby w drodze nie spotkała ją jaka przykrość.

Jenerał wyjechał naprzeciw, z łzami powitał swą rodzinę, a trębaczowi ofiarował kiesę złotą w podzięce.

— Żołnierz polski od wroga nie bierze pieniędzy — odrzekł trębacz — i ja nie biorę.

— — — — — — — — — —

Ten sam Chruszczew potem wziął Kościuszkę pod Maciejowicami do niewoli.

DO MATEK.

Każdy, kto się tem zajmował wie, ile to pracy, ile starań związane jest z sadzeniem drzew. Nie dosyć drzewko małe wsadzić w ziemię, trzeba je podlewać, trzeba mu dać palik, żeby wiatr nie złamał i żeby krzywo nie rosło, trzeba ucinać niepotrzebne gałązki boczne, żeby rosło w górę, trzeba też uważać na otoczenie, żeby inne drzewa nie zacieniły naszego małego drzewka, żeby chwasty nie zabierały mu pokarmu, a wreszcie trzeba uważać, żeby się nie pokazały jakie szkodniki, któreby nasze drzewko, jeżeli nie zniszczyć, to uszkodzić i osłabić mogły. Tyle starań dla jednego drzewa, tyle starań i pracy przez parę lat, dopóki nasze drzewko nie wyrośnie, dopóki nie będzie już tak silne, że samo da sobie radę na świecie!

Jeżeli spojrzymy naokoło siebie i zwrócimy uwagę na wychowanie naszych dzieci, rzadko znajdziemy tu choć tyle starań i pracy koło nich, ile wymaga jedno skromne drzewko. Jeszcze dopóki dziecko małe, matka karmi, nosi, pieści, całuje, jak zwykle matka; przecież i krowa swoje cielątko nie tylko karmi

mlekiem, ale i poliże i ryczy, gdy cielę do klatki biorą. Jest to taka miłość instynktowa, jak widzimy nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt; to też nie wypełnia ona nigdy obowiązków matki względem dzieci. Jak dziecko za to podrośnie, jak już nauczy się dobrze chodzić i mówić, wtenczas najczęściej kończy się opieka, a często i miłość matek i dziecko pozostawia się samo sobie. „Nic mu ta nie będzie“, mówią matki. Daje mu się jeść parę razy dziennie, czasem się pocałuje, nos obetrze, czasem się wymyje, jak bardzo brudne, albo wyczesze, jak bardzo po głowinie się drapie i dosyć. A dziecko? Dziecko wałęsa się po izbie, zawsze brudne, bawi się jak może i czem może, często popsuje, co mu pod rękę popadnie i nieraz za to oberwie. Trochę starsze, wałęsa się już i po podwórzu i po stajniach, chlewach; zawiera przyjaźń z innemi dziećmi z pobliskich chałup, a jeszcze większą z kotami, psami i innemi zwierzętami.

I tak bez żadnej opieki, bez żadnego kierunku wzrasta aż do czasu, kiedy może już iść do szkoły. Jeszcze w zimie, kiedy rodzice więcej w chałupie siedzą, prędzej się dzieckiem zajmą, pobawią, pogwarzą, ale w lecie, kiedy to wschodzące słońce z chałupy wygania, a do domu często i zachodzące nie spędzi, rzeczywiście towarzystwem dzieci są najczęściej psy. Ma to towarzystwo i swoje dobre strony. Bo psy się nie kłócą, nie mówią różnych niestosownych dla dzieci rzeczy, nie upijają się, a jeżeli się biją i gryzą, to tylko z obcymi psami, bo ze swoimi, to chyba ze żartów. Nie mają więc psy tak złego wpływu na dzieci (jak to czasem ludzie), ale z drugiej strony nie mają też i dobrego wpływu.

A takie małe dziecko jest zwykle bardzo ciekawe. Onoby chciało wiedzieć, dlaczego Burek nie mówi, tylko szczeka, dlaczego słońce takie jasne, że aż oczy bolą, dlaczego jabłko rośnie na drzewie, kartofle w ziemi, a chleb w piecu, co to za światełka w nocy świecą na niebie, a słońce idzie spać i wiele, wiele różnych, różnych innych rzeczy. A tu pies, choć się i dziecko zapyta, nie powie, bo i sam nie wie i mówić nie umie. Takie małe dziecko lubi też słuchać różnych ładnych bajek, łatwo uczy się wierszyków i później w święto i starszych rozweselić może i dużo uciechy im sprawić.

Cóż, kiedy naprawdę nie ma się kto tem zająć. No i nie dziwota. Jak już wspomniałem, gdy tylko słonko na wiosnę ziemię ogrzeje, kto żyw pracuje w polu. I ojciec i matka i starsze rodzeństwo też się pracy chwyta. Ktoby to zresztą siedział w chałupie. Najstarszy nawet ledwo tyle usiedzi pod dachem, co obiad uwarzy i w nogi; bo i staremu na świecie, na słonku raźniej, no i radby się jaknajdłużej tą ziemią i słonkiem i polem i zbożem nacieszyć.

A dzieci ciągle same. Ile z tego było już nieszczęść, ile wypadków, ile pożarów. A rada łatwa i w wielu wsiach już sobie ludzie poradzili. A radą tą zakładanie ochronek dla dzieci.

W ochronkach, pod opieką specyalnie uzdolnionej osoby, dzieci spędzają dzień cały; tam się bawią, zaczynają uczyć, robią robótki różne, słuchają bajek i opowiadań, oglądają obrazki malowane i nigdy, nigdy nie są bez zajęcia, bo nic nie jest tak złem, nic tak nie prowadzi do złego, jak próżniactwo. A „czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci“. Zakładajmyż więc ochronki. Jeżeli matki same nie mają czasu zająć się wychowaniem swoich dzieci, chronić ich od wypadków, i od złego przykładu. O ileż spokojniej i lepiej będą mogły pracować, gdy będą wiedziały, że nad pozostawionemi dziećmi oprócz opatrzności Boskiej, czuwa troskliwe oko ochroniarki, a nie Łysek lub Burek.

SAD PRZY CHACIE.

„Sadził jabłonkę staruszek,
Pan Jezus szedł tamtą drogą,
I rzekł: Sadzicie — dla kogo?
Wam niedoczekać jabłuszek!“
— „Nie sobie sadzę, nie sobie,
Z tej jabłonki, gdy obrodzi
Będą jabłka jedli młodzi
I starego wspomną w grobie“.
Pożegnał Pan Jezus dziada
I błogosławił jabłonce...
Aż na niej kwiatów tysiące
Kwitnie na raz i opada.
Szczep się jabłonki rumieni —
I głos rozległ się po niebie,
„Którzy czynią nie dla siebie,
Siedemkroć błogosławieni!“

Tak pisze nasz sławny poeta i przyjaciel ludu Lucyan Rydel, co to w Toniach, pod Krakowem mieszka. Ale oprócz tej zasługi, którą nasz poeta tak ładnie w powyższym wierszyku przedstawia i korzyści z zakładania sadów są ogromne. Podług Jankowskiego, przeciętny dochód z jednego drzewa wynosi 2 do 3 koron (pojedyncze drzewo może dać i 10 razy więcej, to są cyfry z wielkiej ilości drzew zebrane, z których naturalnie nie wszystkie obrodziły).

Owoce są bardzo smacznym, zdrowym i pożywnym pokarmem, czy to spożywane na surowo, czy suszone, czy gotowane. A sam sad! Jaki piękny na wiosnę, gdy cały białem kwieciem się pokryje; a jaki miły cień i chłód daje przez całe lato, kiedy to w izbie duszno i gorąco. Jak to miło w cieniu drzew, w chłodzie zasiąść z rodziną do obiadu, albo po pracy odpocząć, albo z sąsiadami pogwarzyć. A jaką dzieci mają z sadu uciechę, jak się tam lubią bawić, a i praca w sadzie koło drzew, albo warzyw i kwiatów jest miła dla dzieci i zdrowa. Drzewa dają schronisko przeróżnym ptakom, które nie tylko śpiewem nas radują, ale i dużo pożytku przynoszą, niszcząc przeróżne szkodliwe owady. Drzewa wreszcie, rosnące koło chaty, zasłaniają ją i bronią od wichru i słoty.

Pomiędzy drzewami owocowemi sadzić można agrest i porzeczki, które bez żadnego prawie zachodu darzą nas doskonałym owocem i rzadko kiedy zawodzą.

Drzewa owocowe sadzić można z jesieni, albo wczesną wiosną. O sposobach sadzenia i wogóle o zakładaniu sadów opowiem przed jesienią, bo teraz już na sadzenie zapóźno. Dla tych jednak szczęśliwych, którzy mają już sady, poświęcimy jeszcze parę słów o robotach wiosennych koło drzew.

Już w lutym i marcu drzewa owocowe powinny być oczyszczone z pozostałych liści, w których się mieszczą gniazda owadów. Żeby wytępić owady, zimujące pod korą, oskrobuje się delikatnie wierzchnią korę tępym nożem i wyciera twardą szczotką (lepiej maczaną w wodzie z szarem mydłem). Wczesną wiosną należy też wyciąć niepotrzebne gałązki albo wilki. Nie trzeba zwlekać z pobieleniem drzew dla zniszczenia mchów, porostów i owadów. Bieli się drzewa w czasie dłuższej pogody papką dosyć gęstą z wapna gaszonego, gliny, gnojówki i popiołu. Gdy ziemia odtaje, należy zaraz drzewa okopać, żeby ułatwić przystęp powietrza i wilgoci do korzeni.

Jeżeli drzewa nie rodzą, jestto dowodem, że nie mają w ziemi pokarmu, trzeba więc zasilić je zawczasu. Można w jesieni dać zwykły nawóz naokoło drzewa i przykryć rydlem dosyć głęboko i można też dać nawóz sztuczny, licząc 4 cnt. kainitu i 4 cnt. tomasówki na 1 mórg; posypać w jesieni równo pomiędzy drzewami i przyorać.

Jeżeli pomiędzy drzewami uprawia się warzywa i rośliny gospodarskie i daje się często nawóz, to z niego i drzewa korzystają.

Z warzyw w marcu można już siać, jeżeli niema mrozów: marchew, pietruszkę, groszek cukrowy; w kwietniu fasolę, buraki ćwikłowe i pastewne, sałatę, rzodkiew; w maju dynie i ogórki, które nie znoszą przymrozków.



WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Z ziem polskich.

Z Królestwa Polskiego. Od dłuższego czasu ponawiały się pogłoski o zniesieniu stanu wojennego w Królestwie. Pogłoski te jednak dotąd się nie sprawdziły. Że stan wojenny trwa nadal — w tem wina band rozbójniczych, które przez ciągłe zamachy i napady bandyckie dają biurokracyi rosyjskiej doskonałą sposobność do utrzymywania nadal stanu wojennego.

Wskutek strejków fabrycznych w Łodzi kilkanaście tysięcy robotników, wraz ze swemi rodzinami, przymiera głodem. Składki, dawane na ten cel dosyć obficie, nie mogą usunąć nędzy i głodu, a tymczasem fabrykanci pruscy zalewają rynki w Królestwie i Rosyi swoim towarem, przez co Królestwo traci jedną z swych potęg przemysłu i jego zbytu.

Z Łodzi donoszą do dzienników warszawskich o zajściach, jakie tam ciągle zdarzają się na ulicach: żołnierze rosyjscy biją spokojnych przechodniów kolbami i nahajkami. Wskutek tego obywatele miasta wysłali delegacyę do policmajstra, ażeby zakazał żołnierzom tych gwałtów ulicznych. Policmajster odpowiedział, iż przedsięweźmie odpowiednie kroki w celu zapobieżenia samowoli żołnierzy. Pomimo przyrzeczeń policmajstra, wypadki pobicia spokojnych przechodniów na ulicy trwają dalej i codziennie po kilkanaście osób pogotowie ratunkowe musi opatrywać, pobitych kolbami.

Mieszkańcy Łodzi, chcąc raz położyć kres tym nadużyciom, wybrali się z deputacyą do miasta Piotrkowa, do jenerał-gubernatora Durnowo, a że go nie zastali w domu, z powrotem poszli jeszcze raz do policmajstra w Łodzi. Ten im odpowiedział, że w obecnym czasie nie jest w stanie gwarantować bezpieczeństwa mieszkańców i że on posiada do swej dyspozycyi tylko 118 stójkowych, reszta zaś służby bezpieczeństwa rekrutuje się z żołnierzy, do których on nie ma prawa. I tak biedna ludność narażona jest na dalsze prześladowania.

Sprawa amnestyi.

Donoszą z Petersburga, że w sferach rządowych zdecydowano się ostatecznie dać amnestyę i polecono ministrowi sprawiedliwości przeprowadzić ją na następujących podstawach: 1. Zupełne ułaskawienie otrzymają wszyscy skazani lub ścigani za przestępstwa prasowe, to jest za pisanie różnych podburzających odezw i broszur, a także ci, którzy przekroczyli ustawę z powodów czysto politycznych, a nie dla osobistej korzyści. 2. Znosi się wszystkie kary, nałożone w drodze administracyjnej lub przez sąd, o ile odnośne wyroki były wydane na podstawie przepisów o wzmocnionej ochronie lub stanie wojennym. 3. Ułaskawia się wszystkie osoby, skazane na przechowywanie lub roznoszenie literatury nielegalnej. 4. Nie podlegają amnestyi osoby, które dokonały zamachów terorystycznych. 5. Wspólnicy sprawców zamachów otrzymają ułaskawienie częściowe przez zmniejszenie kary. Słychać, że już w deklaracyi swojej Stołypin zapowie udzielenie amnestyi.

Ochrona zaniedbanych dzieci.

Za parę dni otwarty zostanie w Wiedniu I. kongres ochrony dzieci, którego celem będzie zastanowić się nad środkami, mającymi usunąć zło dotychczasowe, a w szczególności obmyślić sposób, aby zaradzić szerzeniu się występków wśród młodzieży.

Nie można wątpić, że zainicyowane z tak poważnej strony obrady wydadzą plon obfity, jednakże z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że bezskutecznemi zostaną najszlachetniejsze wysiłki dziesiątek jednostek, jeżeli ogół społeczeństwa nie ujmie tej kwestyi w swoje ręce.

U nas w Galicyi w ostatnich latach ruch na tem polu przybrał znaczne rozmiary. Społeczeństwo zrozumiało, że przyszłość narodu leży w młodem pokoleniu i jest już dużo instytucyi i zakładów, które na tem polu pracują, ale wszystko to jest zaledwie kroplą w morzu.

Ileż to dzieci po większych miastach żyje cały dzień na ulicy, wypędzone rano z domu przez matkę, która albo sama idzie na robotę na cały dzień, albo, jak bydle opite, leży w domu w największem niechlujstwie, wypędza dziecko, aby szło „na zarobek“ i dziecko idzie, patrzy, żeby komu co porwać, żeby się samemu pożywić i kilka groszy matce przynieść na wódkę, inaczej niech się nie pokazuje do domu. I takie biedne dziecko od najwcześniejszych lat zaprawia się bezwiednie do życia niemoralnego, do występku, a czasem i zbrodni. Nad takiemi dziećmi trzebaby rozciągnąć opiekę, odebrać je wyrodnym

matkom, nadać dobry kierunek wychowaniu, dać im zajęcie i nie wypuszczać ani na chwilę z pod swej opieki, ażeby nie miały czasu myśleć o przeszłości, a żyły tylko teraźniejszością. Takie dzieci pod rozumnym kierunkiem mogą wyróść na dobrych obywateli kraju i nie przyniosłyby hańby naszemu narodowi. Występki małoletnich, to przeważnie rezultat wychowania rodziców lub opiekunów, którzy na tle alkoholizmu czynią z nich powolne narzędzia swych wyuzdanych skłonności.

Weźmy sobie za przykład Amerykę, która jak we wszystkiem tak i w tem nas wyprzedziła. Cała Północna Ameryka pokryła się siecią stowarzyszeń, które społeczeństwo w swe silne ręce ujęło i dobrze go prowadzi, a dowodem tego jest, że za przykładem Ameryki poszły i inne państwa, jak Anglia, Francya i Niemcy. Miejmy nadzieję, że i u nas, po kongresie wiedeńskim i za poparciem rządu, utworzą się jakieś zakłady dla opuszczonych dzieci.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Chów kaczek. Poważnem źródłem dochodu w gospodarstwie wiejskim, małorolnem, jest chów drobiu. W dziale tym kaczki zajmują niepoślednie miejsce. Czysty dochód z kaczek nie wiele bywa mniejszy, niż z gęsi, a pewniejszy, gdyż kaczki nie podlegają chorobom epidemicznym (zarazie), tak, jak gęsi — przytem osobnego pastuszka im się zwykle nie daje.

Przestrzegamy jednak — właśnie z powodu, że kaczki chodzą samopas, trzeba przed zaczęciem ich hodowli, dobrze się rozpatrzeć w warunkach miejscowych — gdyż kaczki, jako nadzwyczaj żarłoczne, mogą narobić szkody w polu, ogrodzie, a szczególniej w stawach, tak dużo, że zysk z ich sprzedaży nie pokryje straty.

Gdzie są stawy z młodym zarybkiem, stanowczo kaczek chować nie można, gdyż nie tylko zarybek ale i ikrę wybiorą tak, że nic nie zostawią, czasem nawet sporą już rybę, wspólnemi siłami wyciągną i zjedzą. Jeżeli jest blisko pole z pszenicą, jęczmieniem lub owsem, umieją sięgnąć do wysokości kłosa, lub naginać źdźbła, zdeptać je, a ziarno wyłuskać. Grubo się to na plonie odbija, jeżeli wczas nie spostrzeżemy i nie dopilnujemy kaczek — co z pewnym trudem przychodzi, gdyż kaczki uparcie wracają na miejsce, gdzie raz obfity żer znalazły. Także, jeżeli ogród warzywny nie zagrodzony szczelnie, zjedzą, co się da zjeść, resztę zdepczą, a ogród odwiedzany przez kaczki, wygląda jak po gradzie.

Z wyżej wymienionych przyczyn, wiele gospodyń zniechęciło się do chowu kaczek. Jeżeli jednak mamy pole w pewnej odległości lub odgrodzone od domu, ogród dobrze zabezpieczony i hodowli ryb nikt nie prowadzi w pobliżu, dobrze zrobi każda gospodyni, zaprowadziwszy kaczki, bo stosunkowo z niewielkim trudem, ładny grosz zarobić może.

W sadzie, kaczki nie tylko nie robią szkody, ale przeciwnie, są bardzo pożyteczne, gdyż wyjadają owady szkodliwe i ślimaki — szczególniej chrabąszcze.

Woda w pobliżu jest warunkiem ogromnie pożądanym przy chowie kaczek — zysk z nich wtedy bywa znacznie większy — raz dlatego, że kaczęta przy wodzie rosną szybciej i dochodzą do wyższej wagi i wielkości, a powtóre, że znacznie mniej kosztują i mniej przy nich zachodu, bo same o żer się starają. Można jednak z zyskiem hodować kaczki, nawet tam, gdzie nie ma wody — trzeba tylko dostarczyć im wody sztucznie, t. j. wkopać obok studni balię, beczkę lub najlepiej duże, szerokie koryto (bo się najłatwiej daje podważyć jednym końcem do góry, dla oczyszczenia go) i nalewać w nie wody — trzeba tylko pamiętać, żeby woda była codziennie świeża i żeby jej nie brakło, szczególniej w upały. Co parę dni, trzeba wybrać ze dna błoto i gnój, a koryto spłukać czystą wodą, wylać ją i dopiero nalać wody dla kaczek.

Zwykle chów kaczek zaczyna się od tego, że kupuje się jaja i nasadza na nich kurę — jest to najłatwiejszy i najtańszy sposób dochowania się kaczek — nawet, jeżeli mamy możność nabywania gdzieś niezbyt daleko, pewnych, świeżych jaj, korzystniej dla gospodyni, nie mającej wygodnych kurników, kupować corocznie jaja na wiosnę, odchować kaczki i sprzedać, niż stare kaczki przetrzymywać przez całą zimę.

Radziłabym tylko gosposiom, żeby kupowały jaja z dużego poprawnego gatunku. Polecenia godne są kaczki pekińskie wielkie, białe, doskonale przystosowane do naszego klimatu — zachód około wychowania taki sam, a dużą kaczkę znacznie drożej się sprze-

daje — pierze też z pekińskich kaczek jest śliczne, białe, nie ustępujące w dobroci gęsiemu.

Jeżeli hodowla jest już dawniej prowadzona i reprodukcya odbywa się z własnych kaczek, należy na chów wybierać największe, najcięższe i najgłośniej krzyczące, bo te są najzdrowsze i najsilniejsze. Kaczor nigdy nie krzyczy tak, jak kaczka — ma głos więcej syczący. Kaczora łatwo też można odróżnić, po tak zwanej chorągiewce, t. j. dwóch piórkach w ogonie odwiniętych do góry — u odmian kolorowych, kaczor prócz chorągiewki, wyróżnia się lśniącem pierzem i jest znacznie piękniejszy od kaczki. Przy racyonalnej hodowli, ogromnie ważny jest dobór kaczora. Nie należy nigdy pozostawiać ojca z córkami lub brata z siostrami, bo to prowadzi do zdrobnienia i zwyrodnienia rasy. Jeżeli chcemy mieć stale piękne, wielkie kaczki, trzeba mieć zawsze kaczora z innego gniazda ale takiej samej odmiany.

Gdy nie można kupić co roku pięknego kaczora, najlepiej zrobić zamianę z sąsiadką, ale tylko z taką, której kaczki się z naszemi nie spotykają, a więc najlepiej z drugiej wsi — a obie gosposie dobrze na tem wyjdą. Kaczora można zostawić przez parę lat tylko wtedy, jeżeli i kaczki na chów zostawiamy te same, do których był sprowadzony. Na jednego kaczora liczy się 6 kaczek, nigdy więcej, lepiej mniej. Wybór kaczek i zmiana kaczora powinny być dokonane bardzo wcześnie na wiosnę.

Do chowu kaczek potrzebne są koniecznie dwie komórki, czy chlewki — jeden ogólny dla wszystkich kaczek, w którym zwykle i kury na grzędach siadają — drugi dla kaczek niosących się, jeżeli chcemy, żeby kaczki same swoje jaja wylęgały.

Mylne jest twierdzenie, że kaczka jaj wysiadywać nie chce i nie umie — przeciwnie, wysiaduje je ona bardzo pilnie, trzeba się tylko odpowiednio z nią obchodzić i odpowiednie gniazdo urządzić.

Kaczka jest znacznie mniej oswojona, znacznie dziksza, niż kura — i nic dziwnego — kaczkę, jako ptactwo domowe, przyswoił sobie człowiek o jakie sto lat później niż kurę, a potrzeba dużo lat i dużo pokoleń, żeby ptaka z dzikiego, przerobić na domowego. Jeżeli jednak gęś nie wiele wcześniej oswojona, wysiaduje jaja swoje znakomicie, dlaczegoby kaczka, choć mniej łagodna niż gęś, nie miała robić tego samego — tembardziej, że trafia się, iż kaczka znosi gdzieś w krzakach kilka lub kilkanaście jaj, siada na nich, a nawet wyprowadza kaczęta, o ile jej pies nie wyśledzi i jaj nie zabierze.

Zwróciłam na to uwagę, w samym początku swego gospodarowania i rezultatem kilkunastoletnich prób i doświadczeń, chcę się podzielić z czytelniczkami „Przodownicy".

Doszłam do tego, że prawie wszystkie kaczęta miałam wylęgane przez ich przyrodzone matki, a nie macochy. Do pomocy kur lub indyków uciekałam się tylko wtedy, jeżeli chciałam mieć bardzo wczesne kaczęta, gdyż kaczki zaczynają nieść się później, później też kończą okres niesienia, a więc i później siadają na jajach.

Kaczka jest kapryśniejsza niż kura, nie usiądzie w jakimkolwiek koszyku, czy pudełku, ale musi mieć do tego odpowiednie warunki. W tym też celu trzeba mieć, jako wylęgarnię dla kaczek, spokojne miejsce, nie przechodnie, niezbyt widne, ale nie zupełnie ciemne. Tam zrobić tyle gniazd, ile kaczek nieść się będzie — jeżeli można, zrobić te gniazda na pewnem podwyższeniu, tak jednak, by kaczka łatwo się tam dostała. Kaczka chętnie składa jaja gdzieś wyżej; pozostał jej się zapewne ten instykt z czasów jej dzikości, kiedy musiała szukać miejsc wyższych, żeby jej woda gniazda nie zalała. Nad każdem gniazdem trzeba urządzić rodzaj budki, osłaniającej siedzącą na gnieździe kaczkę — może to być stary, dziurawy koszyk, obrócony dnem do góry, ale najlepiej zrobić budkę z gałęzi świerku, sosny lub jodły. Kaczki skwapliwie w te sztuczne krzaki wchodzą i składają jaja.

Na noc wpuścić do tej komórki kaczki, ale tylko te, co mają jaja, nigdy nie należy wpuszczać tam kaczora i nigdy — broń Boże — nie łapać tam kaczek i nie gonić. Dla przekonania się, która ma jajo, można je łapać w ogólnym kurniku. Kaczka raz zgoniona z miejsca, gdzie ma gniazdo, już więcej tam nie usiądzie, spłoszona, nawet zależone jaja nieraz opuści.

Trzeba też zwrócić uwagę, czy w tem miejscu nie ma szczurów, bo te niepokojąc kaczki, wysiedzieć im kacząt nie dadzą, a gdyby wylęgły, szczury poduszą kaczęta.

Co dzień rano, trzeba wypuścić kaczki te, które chcą wyjść, nigdy nie spędzając z gniazda takiej, co sama nie zeszła. Jaja z gniazd codzień trzeba zabierać, zostawiając tylko po jednem w każdem gnieździe.

Kiedy kaczka już chce siedzieć, co łatwo poznać, bo wtedy wyskubuje z siebie pierze

i odchodząc zakrywa nim jajko, trzeba jej zostawiać po kilka jaj w gnieździe — a kiedy usiądzie, już i cały dzień z gniazda nie schodzi, a pierzem suto się obściele — trzeba wieczorem, bardzo ostrożnie, żeby jej nie spłoszyć, wyciągnąć jej te jaja, które ma pod sobą, a włożyć pod nią inne, świeże, w liczbie 12 do 15. Trzeba się mieć na baczności przytem, bo kaczka boleśnie dziobie i bije skrzydłem z taką siłą, jakby kto mocno kijem uderzył. Dawniejsze jaja nie mogą być pozostawione dlatego, że może być pomiędzy niemi nieświeże, a zresztą tamte, jako wcześniej dogrzane, nie równo by się lęgły.

Kaczki siedzące na jajach, powinny dostawać, jako pożywienie, dobre, czyste ziarno, najlepiej pszenicę i mieć wody poddostatkiem. Woda i ziarno powinny stać cały dzień, bo niewiadomo, kiedy kaczce przyjdzie ochota jeść i pić i stać blisko, żeby schodząc, jaj nie zaziębiła. Od czasu do czasu trzeba zajrzeć do nich, gdyż spotkawszy się przy jedzeniu, często się biją i tak się zacietrzewią, że o jajach zapominając, zaziębiają je.

Przy zachowaniu tych wszystkich ostrożności, będziemy mieć na pewne kaczęta wyprowadzone przez kaczki. Korzyść nam to przynosi potrójną: 1. Kaczka gdyby nie wysiadywała jaj, próżnowałaby — zaś kura, mająca ją w tej czynności wyręczyć, może przez ten czas wysiedzieć swoje jaja. 2. Kaczka, jako silniejsza, daleko lepiej obroni kaczęta od napastnika. 3. Kaczka samodzielnie wyszukuje dzieciom żer; zaprowadzi je tam, dokąd kura nigdy nie odważy się dojść; wynajdzie im wodę o pół kilometra, wskutek tego wychowanie kacząt przy kaczce jest mniej kosztowne i mniej zachodu wymaga, kura zaś patrzy przeważnie na ręce ludzkie, co jej i jej pasierbom przyniosą.

Najtrudniej jest pierwszy raz przekonać kaczkę, żeby wylęgła, później co rok sama usiądzie — i co rok mniej z nią kłopotu, bo się mniej boi — po paru latach nawet na odkrytem gnieździe siedzieć będzie, płoszyć jej tylko nigdy nie można. Lubi siedzieć corocznie w tem samem miejscu i poznaje swoje gniazdo.

Z drugiego pokolenia wyrosłego z kacząt wyprowadzonych przez kaczkę, już prawie każda siedzieć będzie i już mniej z nią kłopotu, niż było z jej matką.

Wysiadywanie trwa 28 dni — czasami z parodniowem opóźnieniem lub przyspieszeniem, zależy to od świeżości jaj i od pilności kaczki w siedzeniu. Jeżeli kaczęta lęgną się nie równo, trzeba kaczce ostrożnie zabrać wcześniej wylężone i trzymać w pierzu, w cieple, jak się to zwykle robi. Przenosząc kaczkę z wylężonemi kaczętami w inne miejsce, trzeba ją brać wraz z kaczętami, gdyż inaczej nie chce ich znać i ucieka. Można złączyć kaczęta z pod kilku kaczek i dać jednej do prowadzenia, ale można to tylko zrobić wtedy, jeżeli się niczem od siebie nie różnią — innego koloru lub też mniejsze, albo większe, kaczka zabija.

Przez 12 do 18 godzin po wylężeniu, trzeba kaczęta zostawić w spokoju, potem je napoić mlekiem świeżem surowem, maczając każdemu dziobek po kolei. Jajko drobno posiekane daje im się nie wcześniej, jak po 18 godzinach i znów napoić każde. Jeść powinny dostawać co 2, później co 3 godziny, z początku trzeba pilnować, żeby się każde napoiło, po paru dniach już same wody szukają. Jeżeli się zamaczają, trzeba je zaraz wsadzić w pierze lub pod kaczkę, żeby się rozgrzały i prędko wyschły. Wodę trzeba im stawiać w małych, płaskich naczyniach; wybornie nadają się do tego blaszane pudełka od sardynek, o które łatwo się postarać, bo je wszyscy wyrzucają, a takie pudełko nie stłucze się, nie łatwo wywraca i nie zginie z przed domu, bo nikt tego nie zabierze.

Jeżeli kura wysiedziała kaczęta, można je już po 3 dniach wynieść na dwór, naturalnie jeżeli ziemia jest ciepła, wygrzana od słońca i dzień pogodny, Z kaczką, jeżeli woda jest blisko, nie można ich puścić, aż po skończonym tygodniu i to tylko, jeżeli woda już ciepła; wrazie chłodu, puszczać ich pierwszy raz nie można, gdyż kaczka czy to z obawy o kaczęta, czy też ucieszona, że nareszcie po miesiącu dostała się na wodę, nie chce z niej zejść, kaczęta zaś przeziębiają się i giną. Jajko daje się kaczętom 2 do 3 dni, potem chleb kruszony, trochę sera, trochę ziemniaków, lub kaszę jęczmienną na sucho ugotowaną. W miarę wzrostu kacząt dodaje im się do kaszy coraz więcej zieleniny drobniutko usiekanej, (sałata, mlecz, lebioda i t. p.). Jeżeli jest gdzieś rzęsa na stawach, najlepiej rzęsę zbierać dla kaczek, gdyż najpożywniejsza i najmniej z nią roboty.

Stopniowo przechodzi się do samej zieleniny, osypanej tylko mąką razową lub ospą i polanej mlekiem. Przy tym pokarmie pozostają już do końca, więc żywienie ich nie jest kosztowne. Zwykle nawet, jeżeli w wodzie znaj-

dują żeru poddostatkiem, wyszedłszy rano, nie wracają aż wieczorem i wtedy dopiero nakarmić je można.

Czasami jednak kaczki są tak dzikie, że mimo, iż są głodne nie przychodzą dzień cały — trzeba to sprawdzić, t. j. zobaczyć wieczorem, czy mają gardziołka dość naładowane, w przeciwnym razie trzeba im nosić jedzenie nad wodę, bo inaczej schudną i słabo rosnąć będą.

Póki kaczęta są małe, sadzamy je zwykle na noc w dużem pudle lub koszyku, żeby się nie rozbiegały i nie ziębły. W miarę jak podrastają, w koszyku im za ciasno, trzeba je umieścić na ziemi, podścielając im tylko suto czystej słomy lub suchego mchu. Podściółki potrzebują dużo, gdyż bardzo kurnik zanieczyszczają, ale za to i nawozu sporo przyrobią.

Zanim przystąpimy do sprzedaży kaczek, warto je dla osiągnięcia wyższej ceny choć cokolwiek utuczyć. Jeżeli nie mając dużej wody, kręcą się około domu można, nie zamykając ich, dać im tylko lepiej jeść — z wody nie zawsze chcą zejść do jedzenia i nie poprawiłyby się nigdy, trzeba je więc zamknąć na 10 – 14 dni. Dawać im w obfitości poślady różnych zbóż, szczególniej owsa — lub moczone ziarna kukurydzy — przytem stawiać im w korytku drobno usiekaną marchew lub ziemniaki surowe — wody też muszą mieć poddostatkiem w naczyniu o tyle dużem, żeby się kaczka wypluskać mogła.

Szmalec z kaczki jest smaczniejszy niż z gęsi, mięso znacznie od gęsiego delikatniejsze, wszelkie wędliny, półgąski i marynaty równie dobre jak z gęsi urządzać można.

K. P-

Praktyczne, ogólne rady o pieczeniu ciasta. Dobrej gospodyni ciasto na święta zawsze udać się powinno, jeżeli nie zaszedł jakiś gwałtowny, nieprzewidziany przypadek. Jeżeli ciasto się nie uda, gospodyni się martwi, jej zły humor odbija się na otoczeniu i święta przestają być „wesołe“ — że zaś życzymy z serca wszystkim czytelniczkom „Przodownicy“ „Wesołych Świąt“, podajemy kilka sekretów wypróbowanych w ciągu lat kilkunastu przez doświadczoną gospodynię, ażeby wszystkie czytelniczki ładne ciasta na święta mieć mogły.

Sekreta te są następujące:

1. Musi być bardzo ciepło w miejscu, gdzie się ciasto rozczynia i gdzie ono rośnie.

2. Wszystko, co potrzeba do ciasta, musi być w wilię dnia pokupione i naszykowane, żeby nic nie szukać, na nic czekać nie było potrzeba.

3. Ciasto mocno, długo i bez przerywania wyrabiać.

4. Trzeba mieć dobre, świeże drożdże.

5. Mieć dobrze wypróbowany piec.

A więc — wyjaśniamy dokładnie — w miejscu, gdzie ma być robota około ciasta, już w wilią dnia zacząć palić, żeby było już nie ciepło, ale gorąco. Wszystkie naczynia, blachy na placki, formy na baby w wilię dnia poszorować, poczyścić i ustawić w cieple, żeby wyschły i wygrzały się. Drzewa narąbanego naznosić wcześniej i ułożyć przy piecu. Zasuwa do pieca, pomietło, łopata powinny stać przy piecu, żeby nie szukać w chwili, gdy trzeba wymiatać lub wsadzać. Ciasto na nic czekać nie lubi — nawet piórko do smarowania i słomka do przekłuwania bab, na stole leżeć powinny.

Mąkę ustawić na noc obok pieca. Drożdże przez noc trzymać w chłodniejszem miejscu ale nie na mrozie, gdyż przemarznięte, będą na nic. Robotę zaczynać rano, żeby do nocy nie przeciągać pieczenia — człowiek zmęczony całodzienną pracą o nie jednem zapomni i nie jedno źle zrobi po nocy.

Najpierw wypróbować drożdże, t. j. wlać w garnuszek ciepłego mleka, wsypać łyżkę mąki pszennej i łyżeczkę cukru, wymieszać, wkruszyć do tego drożdży i mieszać, aż się zupełnie dokładnie rozetrą, żeby ani jednej grudki nie było; okryć gałgankiem czystym lub papierem i pozostawić w cieple — nie zaczynać roboty póki drożdże nie będą rosły, gdyż jeżeli nie rosną szybko, szkoda naszej roboty, bo się ciasto nie uda; jeżeli rosną dobrze, można zaraz niemi ciasto rozczyniać. Mąkę przesiać rano, nigdy na noc, bo i tak schnąc przez noc, pozlepia się w grudki, które dopiero na sicie rozkruszać trzeba.

Ciasto powinno być przerabiane dwa razy: najpierw rozczynione tylko mlekiem i drożdżami, a dopiero kiedy wyrośnie, dodaje się wszystkie przyprawy, jako to: cukier, jaja, masło i coś dla zapachu, co kto lubi. Naturalnie ciasto będzie tem smaczniejsze, im więcej przypraw do niego weźmiemy, zależy to już od woli gospodyni i od jej zapasów w spiżarni.

Gęstość ciasta powinna być unormowana przed wlaniem masła — po wlaniu masła nie można ani dosypywać mąki, ani dolewać mleka.

Lepiej się zawsze udaje ciasto gęstsze niż rzadsze.

Ciasto ubijać bardzo mocno, nie przerywając, lepiej kopyścią niż ręką. bo się dwie osoby kolejno zmieniać mogą, a robota ostrzej, a więc lepiej, idzie.

Wiele gospodyń na wsi przesala ciasto i przynosi sobie tem stratę, bo zbytek soli niszczy własności cukru i sprawia, że ciasto mamy nie słodkie, lub mało słodkie, mimo dużej ilości cukru, użytego do ciasta. Im więcej cukru, tem mniej soli brać trzeba, do słodkiego ciasta wystarczy soli maleńka łyżeczka na garniec mąki — jeżeli masło słone, zupełnie solić nie trzeba.

Co do palenia w piecu, to każda gospodyni musi swój piec znać i wypróbować, gdyż w jednym mniej, w innym więcej, palić trzeba.

Na baby zapala się tak, jak na chleb pytlowy, na placki trochę mniej. Próbuje się, czy piec w miarę dogrzany, rzucając garstkę otrąb w piec. kiedy już na czysto z niego wymiecione — jeżeli się palą, trzeba piec wychłodzić; jeżeli trzaskają i lekko się rumienią, piec gotów. Mając wsadzić baby, trzeba jeszcze wypróbować i sklepienie pieca t. j. położyć na łopacie kawał papieru i podsunąć pod sklepienie w głębi pieca, jeżeli papier się pali, umaczać pomietło i sklepienie wychłudzić.

Cały okres pieczenia, od rozczynienia do wysadzenia z pieca, nie powinien trwać dłużej niż 6—8 godzin, jeżeli się przeciąga dłużej, zwykle się ciasto nie udaje.

Wsadzając do pieca, lub przesadzając, trzeba bardzo uważać. żeby foremkami lub blachami nie uderzyć o co i nie wstrząsnąć, bo to może spowodować wytworzenie zakalca w cieście, taka sama uwaga potrzebna przy wyjmowaniu z pieca. Baby najlepiej zostawić w formach. aż zupełnie wystygną — gdyby koniecznie trzeba było je wyjąć wcześniej, jeżeli np. formy do drugich bab są potrzebne, niech przestygną choć trochę, a potem bardzo ostrożnie wysunąć je z formy na miękką poduszkę i tak zostawić, aż zupełnie zimne będą. Pieczywa delikatnego gwałtownie studzić nie można — wynieść w chłód, ale nie na mróz.

K. P.

ROZMAITOŚCI.

Hodowanie królików. W ubiegłym roku króliki rasowe zyskały w naszym kraju znaczną ilość miłośników i hodowców, podczas gdy przedtem prawie nikt z włościan nie zwracał uwagi na tę hodowlę. Nikomu prawie wierzyć się nie chciało, aby tak niepokaźne zwierzątko mogło się sowicie opłacać swemu hodowcy, tak za poniesione trudy, jak i za wydatki na utrzymanie i wyżywienie. Tak wielki postęp rozwoju królikarstwa w naszym kraju jest wynikiem zabiegów i starań Towarzystwa chowu drobiu i królików w Jarosławiu i we Lwowie. Że lud nasz umie już ocenić pracę tych Towarzystw, to najlepszym tego dowodem jest masowe garnięcie się różnych stanów na członków tegoż Towarzystwa. Towarzystwo wydaje członkom po parę królików do hodowania, które po upływie kilku miesięcy, dochowawszy się już od nich 5—6 miesięczną parę, zwraca się Towarzystwu, a stare zostają już do rozpłodu. Nie ma tu mowy o naszych zwykłych królikach, ale o rasach zagranicznych, za których futra zbiera się ładne pieniądze.

Spóźnione zasiewy. Z powodu ciężkiej i długiej zimy tegorocznej, gdzie w końcu marca nic jeszcze do ziemi wrzucić nie będzie można, wszystkie jarzyny będą spóźnione. Otóż żeby to ziarno prędzej z ziemi kiełek wypuściło, należy mu w tem dopomódz Gosposie' które umieją zasiewać marchew, pietruszkę, selery, które długiego potrzebują czasu, żeby wyjść z ziemi, niechaj na miskę czy do garnka wezmą ziemi wilgotnej, zmieszają z nią nasienie, niech tak stoi w ciepłej izbie kilka dni, a gdy ziarnko rozpęcznieje i zacznie kiełek wypuszczać, wtenczas go posiać na grzędzie, a wzejdzie bardzo prędko. Uważać jednak należy, żeby kiełki nie były już za duże, bo mogłyby się połamać i nicby z nasienia nie było. Groch, fasolę, kukurydzę, słonecznik i ogórki zamoczyć w wodzie i trzymać tak długo, aż rozpęcznieją i kieł puszczą, wtenczas je sadzić kłem do góry, żeby się nie złamał.

O sadzeniu ziemniaków. W roku ubiegłym Zarząd główny Towarzystwa Kółek rolniczych zachęcił włościan w tych gminach, w których wedle miejscowego zwyczaju zamiast sadzenia całych ziemniaków, używano okrawków, aby podjęli próby celem przekonania się, czy ten sposób jest korzystny dla rolników lub

nie. Wszystkie doświadczenia wykazały, że lepiej sadzić całe ziemniaki. Gospodarz, Antoni Szczęśniak, z Włosiecznicy, tak pisze: „Ziemniaki zasadziłem 25 kwietnia (a więc już bardzo późno) 100 kilo całych, a zebrałem 400 kilo dużych i 150 kilo drobnych, razem 550 kilo. Okrawkami zasadziłem na tem samem polu również 100 kilo, a zebrałem 350 kilo dużych i 50 kilo małych. Razem 400 kilo. Tylko że skrawków zasadziłem o pół zagona więcej roli, a miałem o 150 kilo mniej ziemniaków. Zdanie moje co do sadzenia ziemniaków jest takie, by każdy sadził całe ziemniaki, gdyż mniej roli będzie pod nie potrzebował a więcej zbierze“. Walenty Chłędowski ze Skrzyszowa w powiecie ropczyckim tak opisuje swoją próbę: „Pole pod te ziemniaki przygotowałem należycie, według praktyki najnowszej, dobrze znawoziłem i na wiosnę zasadziłem ziemniaki pod pług. Wybrałem ziemniaki niekrajane, wielkości jaja młodej kury, 100 kilo, zasadziłem nimi 14-cie rządków, drugie 14 rządków zasadziłem krajanemi ziemniakami czyli okrawkami, ale jakaż była różnica. Przy wschodzeniu poznałem błąd gospodarski, gdyż wiele z krajanych ziemniaków nie zeszło wcale i rosły nędznie, zaś całe, wszystkie powschodziły i były bujne i krzaczyste. Przy kopaniu przekonałem się najlepiej. Ziemniaki całe dały mi 706 kilo, zaś krajane 520 i były mniejsze. Niechże ta nauka posłuży i dla naszych gospodarzy, którzy czytają „Przodownicę“, niech każdy zrobi próbę u siebie, a przekona się, jaka jest w tem korzyść. Drobnych ziemniaków nie trzeba także zasadzać, bo z drobnych duże nigdy nie urosną.

Związek teatrów i chórów włościańskich. W biurze Zarządu głównego Towarzystwa Kółek rolniczych we Lwowie odbyło się w dniu 5 marca zebranie grona osób, które interesują się teatrami i chórami ludowymi. Zebraniu, które zastanawiało się nad potrzebą Związku teatrów i chórów wiejskich, przewodniczył prezes kółek rolniczych, p. Ciesielski. Utworzyć się mający Związek byłby instytucyą, którąby miała za zadanie opiekować się teatrami amatorskimi po wsiach, zakładać podręczne biblioteki, starać się o śpiewniki, urządzać konkursy na sztuki włościańskie, udzielać rad i pośredniczyć w zakupnie rekwizytów, nadto urządzać co pewien czas kursa dla instruktorów (reżyserów) scen włościańskich i t. p. Potrzebę takiego Towarzystwa jednomyślnie uznano i postanowiono je utworzyć. W tym celu wybrano komitet, który zwoła przy końcu marca liczniejsze zebranie wszystkich interesujących się powyższemi sprawami, a nadto opracuje projekt i statut związku.

Dla szukających pracy. Około 100 robotników z dalszych okolic, oprócz miejscowych, znajdzie zarobek przy sypaniu wałów nad Wisłą w gminach Wola Batorska i Zabierzów w powiecie Bocheńskim. Płaca od metra kubicznego po 32 do 46 groszy, zależnie od odległości i jakości ziemi. Przy płacy zarobek dzienny wynosi 2 do 4 koron i więcej. Robotnicy mają mieć swoje łopaty. Roboty rozpoczną się 4 kwietnia, a odbywać się będą pod kierunkiem inżynierów Wydziału krajowego do końca listopada. Zgłaszać się należy wprost do kierownika robót, inżyniera Władysława Kowalskiego w Niepołomicach albo przez powiatowe biuro pracy.

Kurs chmielarski. W szkole chmielarskiej w Starym Siole, zostającej pod zarządem c. k. komitetu galicyjskiego Towarzystwa gospodarskiego we Lwowie, rozpocznie się dnia 10 kwietnia b. r. nowy 10-miesięczny kurs dla wykształcenia chmielarzy zawodowych, względnie pomocników chmielarskich, połączony z nauką koszykarską i rymarstwem. Warunki przyjęcia: wiek najmniej 16 lat, ukończenie szkoły ludowej z dobrym postępem, uzdolnienie fizyczne (świadectwo lekarskie) i dobre prowadzenie się (świadectwo moralności). Kandydaci, pragnący być umieszczeni na koszt komitetu, ażeby otrzymać całkowite bezpłatne utrzymanie, mają, prócz powyższych, wykazać się świadectwem ubóstwa. Należycie udokumentowane podania należy wnosić pod adresem kierownika szkoły w Starem Siole do 20 marca r. b.

Swięcenie niedzieli. Rzeźnicy i masarze krakowscy ustanowili święcenie niedzieli, to jest od dnia 17 marca w każdą niedzielę wszystkie jatki i sklepy masarskie z wędlinami będą zamknięte, ażeby rzeźnicy, tak jak inni rękodzielnicy, mogli całą niedzielę świętować. Gosposie, które na niedzielę chcą mieć kawałek mięsa, niechże pamiętają, żeby go sobie kupić w sobotę. Byłoby pożądanem, żeby w niedzielę i szynki były pozamykane.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 4 „Przodownicy“ z roku 1907.

STARA BAŚŃ.

Któż powie, kto ta matka szczęśliwa?
Kto synowie? Gdzie chata ojcow zburzona?
Gdzie dom nowy budują?

Może to bajka... stara ot gadka ludowa...
a może prawda, która gdzieś się na
świecie ziszcza.. staje...

W. Podgórska.

Matka, Synowie, Najstarszy, średni i najmłodszy, ich dzieci.

(Duża izba w niej lat średnich niewiasta, ciemnym płaszczykiem okryta, w złotej koronie snuje cienką nić z wrzeciona. Na poręczy jej krzesła biały orzeł siedzi. Nieco dalej mężczyzna lat średnich, z miejska ubrany, rachuje coś na małej tabliczce, przekłada wory z towarami. Dokoła niego nagromadzone narzędzia rzemieślnicze).

Matka: Burza się zrywa, wicher całym domem wstrząsa, boję się. (Trwożnie rozgląda się dokoła.) Synu! obejdź no dom dokoła, obejrzyj, czy wszystkie wrota zawarte, pomóż najstarszemu w opatrzeniu domostwa. Zawierucha może wierzeje wywalić, a za ogrodzeniem czychają kupy napastników, jak wilków głodnych stada.

Syn średni: Najstarszy sam da radę, ma dobrą szablę, przyuczony do tego. Zresztą nie lubi mojej pomoc, jak pies warknie, gdy się biorę do czego.

Matka: Ściemnia się już przed burzą, grzmot w oddali pomrukuje. (Grzmi). Synu! chodź bliżej... tu... powiedz mi co, rozpędź moją tęsknicę.

Syn średni: Nie mam ja czasu, pani matko, na zbytnie afekta. Muszę robotników obliczyć, obejrzeć warsztaty, towary wysłać, w drogę za kupnem się wybrać. Gdybym mógł, dnia bym przydłużył.

Matka: (żałośnie). Nigdy dla mnie nie masz czasu. Oh! Synu, zbytnio zabiegasz o majątek, stroisz żonę i dzieci, a dla matki, w której domu mieszkasz, nie masz czasu, w niczem jej nie dopomożesz. Nie masz ty serca, o! nie!

Średni: Źle! he! stara piosenka. Nie mam serca! Samiście temu winni i od was wiele kochania nie doznałem.

Matka: (wzdychając). Synu, matka chociaż nie pieści, bo zawsze byłeś niechętny, to otacza opieką.

Średni: Et! niema o czem mówić.

Matka: Znów wicher dmie gwałtowniej... dom runąć może. Stary dom ojców... Słyszysz, synu.

Średni: A niech runie! Bez domu starego... obejdę się.

Matka: Boże, zbaw! Boże ratuj!

(Wchodzi najstarszy syn ze światłem, piękny mężczyzna, bogato ubrany w kontusz, w żupan szkarłatny, w kołpak z czaplem piórem).

Matka: (wyciągając do niego ręce). Synu ukochany, gdzieżeś był tak długo?

Najstarszy: U wrót się zabawiałem. Parli się kupą całą, a jest pomiędzy nimi aż trzech wielkoludów.

Matka: Przeczuwałam, że się tam coś złego dzieje. Możeś ranny?

Najstarszy: Tylkom umęczony wielce.

Matka: Odpocznij. Siądź tu, u nóg moich, (pochyla się ku niemu) bliżej... przy sercu mojem, o mój najmilszy!

Najstarszy: Teraz możesz być bezpieczna, matko. Wroga odpędziłem na długo. Każ podawać wieczerzę.

Matka: Zaraz, synu. A cóż te wielkoludy?

Syn: Dam im radę, tylko czuwać trzeba.

Matka: Niech ci Bóg dopomaga. Często marzę o twojej przyszłości, jak ty będziesz wielkim, dostojnym, szanowanym.

(Syn chodzi po izbie, pobrzękując szabelką, matka wodzi za nim oczami miłośnie).

Matka: Patrz, oto przygotowałam ci wspaniałą odzież (okrywa go delią sobolową).

Średni: Jak to pieści swego gagadka!

Najstarszy: Jutro, matko, wyruszę z domu w gościnę do sąsiadów. Zli ludzie mó-

wią, jakoby nieład był w twojem gospodarstwie i grozi ci ubóstwo. Wybiorę się zbrojno, bogato, aby ukarać kłamliwe języki, a imię twoje rozstawić.

Matka: Jedź synu. Wszystkie matki zazdrościć mi ciebie będą.

(Najmłodszy wchodzi w siermiędze, znosi wory ze zbożem i układa je w ciemnym kącie izby. Jest zgarbiony, spracowany, ociera pot z czoła).

Matka: (patrząc w ciemny kąt izby). Kto tam się rusza w ciemności, a postękuje.

Najstarszy: To Maciek, zboże znosi.

Matka: Ah! ten nieboraczek. Niech robi niech robi, niech mu Bóg dopomaga.

Najstarszy: (pokazując na młodszego). A cóż ten, zawsze handluje, liczy?

Matka: Tylko do tego lgnie mu serce.

Najstarszy: A jakże dla was?

Matka: Tak sobie... sobek. Nie wielka z niego pociecha, o nie! Chłopczysko harde. Tyle tylko, że w domu dostatku przymnaża.

Najstarszy do średniego: No i jakże wam idzie, panie bracie?

Syn średni: Niezgorzej. Tu stracę, tam zarobię. Zatonęła mi szkuta ze zbożem, tom na bławatach zarobił, to ludzi do pracy bardziej przynaglam w warsztatach. Prosiłem Cię, panie bracie, abyś mi dał kilku synów Maćka, wyuczyłbym ich roboty, bo pracowite ręce mi potrzebne.

Najstarszy: A któżby ziemię orał? Wszyscy z roli żyjemy. Sza! nie mów o Maćku, nie przypominaj go matce!

Najmłodszy: (zgięty pod wielkim ciężarem). O Boże! ulituj się, skórę na grzbiecie zdarłem od tych ciężarów, żywa krew płynie (głośniej). Oh! oh!

Matka: Znów ten Maciek. Od urodzenia takie to już nieszczęśliwe, niezgrabne, ziemię tylko orać zdatne, ciężary dźwigać. Pan Bóg tylko zgruba ociosał. Na jego widok zawsze mię serce boli. Biedny Maciek! a gdyby mu rzec miłe słówko.

Najstarszy: Nie patrz, matko, na niego, (zasłania go sobą). Nigdy nie patrz w tę stronę, bo to zasmuca oczy twoje. A cóż mu za krzywda? Robi, bo do tego stworzony, nic innego nie może. Nie patrz tam, matko. Chcę, abyś była zawsze wesoła i szczęśliwa.

Najmłodszy: (do najstarszego ponuro). Jużem wszystkie wory zniósł, co dalej każesz robić, panie?

Matka: Całkiem, jak sługa. Czy nie wie, że jest twoim bratem? Zawołałam nań, synu!

Najstarszy: Ani mi się waż, matko. Tylko by się rozzuchwalił. Już zostawcie go pod moją opieką, inaczej nie dacie z nim rady. (Do najmłodszego). Ruszaj do roboty! Pola zżęte nawozić! A żona i dzieci niech się nie wylegują! Do roboty!

(Najmłodszy pokornie wychodzi. ale pięść ma zaciśniętą).

Matka: Tak srogo?

Najstarszy: W każdej rodzinie tak czynią. Młodsi i słabsi służą starszym i silnym. Taki porządek jest na całym świecie.

Matka: Oh! boli mię serce. (grzmi). Przeczuwam nieszczęście. Żal mi Maćka. Synu! Bądź dla niego dobrym!

Najstarszy: Uspokój się, matko. Jemu jest dobrze.

Matka: Boję się, te wielkoludy u wrót!... Synu! bliżej do mnie!

Najstarszy: Jestem przy tobie, matko. Patrz, jaki mocny twój dom. Nie bój się.

(Nagła ciemność, szczęk broni, hałas, zamieszanie, ryk wielkoludów).

(Rozjaśnia się. Dom cały w gruzach. Matka leży na ziemi, głową oparta o tron, płaszcz z niej ściągnięty, tarza się w kurzu, daleko odrzucona korona. Na rękach i nogach więzy).

Syn średni: (Oczyszcza swoje siedzenie, zbiera rozrzucone narzędzia. ogląda się trwożnie na okno, na które pada cień jakoby, od stojących za oknem wielkoludów. Pochyla się potem nad matką). Żyje... oddycha jeszcze. Może przyjdzie do siebie. I dom cały w gruzach. Niewygodnie w nim będzie (rozgląda się).

Najstarszy: (Szablę ma złamaną, krok, chwiejny, zraniony, siwy). Już więcej walczyć nie mogę. Z sił opadłem (słania się). Maciek z nas najsilniejszy, trza go było na obronę matki.

(Za najstarszym wchodzi blade chłopie, dźwiga wielką księgę, rozkłada ją na ziemi i przerzuca karty, czegoś w niej szukając).

Najstarszy: Matko! (słychać pomruk wielkoluda).

Syn średni: (pokazując na okno). Wielkolud się gniewa. Ciszej!

Najstarszy: Cicho! bo wielkolud... (do syna swego). Ucz się dziecię... ale cicho... (do matki szeptem). Jak cię ratować, najdroższa! Podnieść cię trzeba (chce ją podnieść, ale ręce ma zranione). Nie mogę... (płacze). Matko!

Średni: (pochyla się, by ją leżącą lepiej ułożyć). Tak wam lepiej będzie, (do najstar-

szego). Nie podniesiesz jej, a tylko bolu przyczynisz. Rany się krwawią za każdem poruszeniem.

Syn najstarszy: (do swego syna). Jak go zmódz? Może tam napisane? (pacholę karty w księdze przewraca). Ale cicho... cicho...

Średni: Mienie moje całe w gruzach, na nowo muszę się dorabiać.

Najstarszy: Jak możesz pracować, gdy ona...

Średni: Żal mi jej... ale cóż... żona... dzieci. Co ja jej pomódz mogę...

Najstarszy: Z więzów ją trzeba uwolnić.

Średni: Nie damy rady. Rany tylko obwiązać trzeba i dobrem pokarmem przy życiu utrzymywać.

Najstarszy: (z oburzeniem). Taką związaną?!...

Średni: A co robić. (ciszej) Może kto nadejdzie. (Słychać groźny głos wielkoluda).

Średni: Słyszy wszystko... cicho.

(Wchodzi najmłodszy z grabiami i kosą, obok niego dziewczynka z koszykiem jagód i pękiem ziół polnych, dalej chłopcy z młotem, kielnią, piłą...)

Najmłodszy: (potykając się o gruzy). Wszelki duch Pana Boga chwali! A to co? W polu byłem. a tu matczyna chałupa się zawaliła!

Najstarszy: Wielkoludy w czasie burzy napadły i oto dom zniszczony, matka w więzach omdlona.

Najmłodszy: Na nas huknąć trzeba było!

Najstarszy: Wołaliśmy, aleście nie słyszeli.

Najmłodszy: I wy panie zbiedziliście się. (pochyla się nad matką). A to nieboga srodze ukatowana!

Dziewczynka i chłopiec: (czepiając się siermięgi ojca). Tatulu. kto to?

Najmłodszy: To matka tych oto... i moja.

Najstarszy: Matka nasza najmilsza. Trzeba ją podnieść, ratować. Pomóż nam, bracie, na wieki będziemy ci wdzięczni.

Najmłodszy: Obejdzie się bez tego. Kobietę trzeba ratować... to się wie, Matulu!

Najstarszy: Tylko cicho...

Najmłodszy: A bo co?

Średni: Wielkoludy za oknem...

Najmłodszy: Całe pole mi zdepczą, bestje! Byle matula była żywa! Matulu! oprzeć wam lepiej głowę trzeba. (Bierze od chłopaka pęk ziół i podsuwa pod głowę). Usta ma na węgiel spieczone. Napoić ją trzeba. Woda prosto ze zdroju, (poi ją. Matka oczy otwiera. Dziewczynka karmi ją jagodami z koszyka).

Najmłodszy: Cała w ranach. O Chryste! (wygraża pięścią wielkoludowi). Dałbym ja jemu!

Najstarszy: Nie gniewaj go!

Średni: Straszny jest.

Najmłodszy: Matkę mi zbił i nie mam pomstowa. A bodajżeś!... zbóju!

Najstarszy: Matko!

Średni: Co to wołać matko! (przedrzeźniając). Matko! — Niech śpi, niech odpocznie...

Najmłodszy: Gdzie zaś spać. Trzeba ją podnieść, rozwiązać... nogi ma skute, (chce ręce rozwiązać). Sam nie mogę, pomóżcie no mi... wy w tę... ja w tę... nie ustępuje... bo też ręce macie jak pajęczyny. To siłą brać trzeba!

Chłopiec: Tniejcie kosą, tatulu.

Najmłodszy: (bierze kosę i przecina więzy na rękach. Jak grzmot, ryk wielkoluda. Podnosi matkę, usadza ją na krześle i wesoło zagląda jej w oczy). A co? lepiej wam teraz. matulu.

(Bracia mu pomagają, oglądając się na okno trwożliwie).

Najstarszy: Jaka blada! zmęczona!

Najmłodszy: Nie biadajcie, panie, tylko żwawo, do roboty! (do pacholęcia nad książką). A wy paniczu, gadajcie, jakie jej leki?

Najstarszy: Rozkuć jej nogi trzeba.

Najmłodszy: (do swoich chłopców). Hej, parobcy, zarobnicy! Ze mną! I wy, panie, i wy!

(Wszyscy chwytają za młoty, nawet chłopię od książki i pochyleni u nóg matki miarowo rozbijają jej więzy. Słychać uderzenia młotów).

(Wielkolud ryczy, rzuca kamieniami, gruzami zasypuje).

(Kajdany z brzękiem opadają, twarz matki zabarwia się rumieńcem zdrowia).

Wszyscy: Wolna!

Najmłodszy: Stańcie no matko o własnych siłach, (pomaga jej wstać).

Chłopcy: (krzyczą). Wielkoludy toczą głaz... rzucą w nas... podnoszą jeden... oh!...

Najmłodszy: Na Wielkoludów! za mną! Wybiegają śpiewając: Hej zemsta, zemsta na wrogu! (Pieśń Mickiewicza). „Z Bogiem! nawet mimo Boga!“ (słychać spadnięcie głazu).

Matka wstaje, obraca się w stronę walczących i podnosi nad nimi ręce.

Matka: Boże! błogosław im! Daj im moc i zwycięstwo! Albowiem bronią matki i domu! (czeka, nadsłuchuje).

Najmłodszy: (wraca radośnie). Wielkolud odpędzony! (podnosi z ziemi koronę i wkłada ją matce na głowę). Żyj nam w szczęściu i chwale!

Matka: Synu mój! Synu wybawicielu! Synu tak długo poniewierany!

Wszyscy wchodzą.

Wolna jesteś matko!

Matka: (do najmłodszego). Ale jakiś ty piękny teraz! Jakeś wyrósł, wyprostował się..

Najmłodszy: To od dobrej roboty, matko!

Matka: A dom?

Najmłodszy: Zbudujemy!

Średni: Mocny i kamienny!

Najstarszy: Wspólnemi siłami!

Koniec.

Nikt nie pożałował.

Stanisław Koniecpolski, hetman koronny, dostał się do niewoli.

Było to w roku 1620!

Było to wtedy, kiedy pod Cecorą stała straszna, niezliczona moc Tatarów i Turków, a dzielny Żółkiewski walczył jako obrońca.

Zięć Żółkiewskiego, Koniecpolski, został porwany przez wrogów, przewieziony do Stambułu i wtrącony w głąb ciemnego więzienia.

Wieża więzienna miała ogromną, ciemną, wilgotną piwnicę. Przez środek tej piwnicy był przeciągnięty długi, żelazny łańcuch, a do łańcucha tego z jednej i z drugiej strony przykuci niewolnicy.

Mija dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a w ciemnem więzieniu do łańcucha przykuci więźniowie nie widzą słońca, nie czują przewiewu świeżego powietrza, nie mają żadnej wieści z Ojczyzny.

Straszne, okropne życie!

Lecz co jeszcze okropniejsze: Oto Turcy więźniów tych, zamkniętych w wieży więziennej, nie żywią, nie dają im ani wody do picia, ani kruszyny chleba do jedzenia. Pozwalają natomiast łaskawie, ażeby jałmużnę nędzarzom dawano. A nieraz nieszczęśliwi więźniowie czekali i dwa i trzy dni, zanim jakaś litościwa ręka zasztuka o kąt ciasnego okienka i poda kawał chleba lub dzban wody.

Stanisław Koniecpolski, hetman młody, piękny, wojownik dzielny i nieustraszony, oto przykuty łańcuchem, jako nędzarz opuszczony i wpół z głodu przymierający, przeżywa okropne męczarnie.

Zostawił młodziutką żonę, maleńkiego syna, zostawił 70 miast i 700 wsi, a oto teraz czeka na nędzny kawał chleba i pragnie bodaj jeden promyk słońca zobaczyć.

— Dlaczegoś szedł na wojnę? — pyta się go dozorca więzienny — dlaczegoś podnosił swój miecz ostry na nasze karki? Było ci żyć i królować, szczęśliwy, możny hetmanie, było ci pieścić syna, tulić żonę, mieć w swojej władzy 70 miast i 700 wsi, a teraz co? Nędznym jesteś niewolnikiem i z głodu giniesz... dlaczegoś rzucił dom i szedł na wojnę?

— Bo jestem Polakiem — odpowiada Koniecpolski, a Polak nie kocha tylko swojej chaty i tylko swoją wioskę, lecz miłuje cały kraj, całą Ojczyznę. Szedłem na walkę, bom musiał bronić Ojczyznę, byście jej krzywdy nie czynili.

— Było bronić swojego zamku, swoich 70 miast i 700 wsi...

— Nikczemny człek tylko o swój zagon i o swoją sadybę walkę toczy. Wszyscy muszą być obrońcami narodu, bo wszyscy są dziećmi jednej Matki — Polski!...

Przeszło czasu nie mało.

Po roku ciężkiego więzienia wezwano Koniecpolskiego do rady ministrów, czyli do dyhamu.

— Damy ci 50.000 wojska. Wiemy, iż jesteś waleczny. Jedź z tem wojskiem do Persyi. Co zdobędziesz, będzie twoje. Ale wyrzecz się najpierw swego Boga, przyjm naszą wiarę.

— A gdybym złamał wiarę Bogu, czybym i wam przyrzeczenia nie złamał? Czybyście mi wierzyli?

— Nie wyrzeczesz się wiary?

— Nie!

— No, to idź na wieczne więzienie. Nie zobaczysz już nigdy światła dziennego, nigdy do Ojczyzny nie wrócisz!

Odszedł Koniecpolski na wieczną ciemnotę i wieczne więzienie.

Zamknięto go w wieży jeszcze ciemniejszej, niż tamta, dano więzienie jeszcze wilgotniejsze i ciaśniejsze, tak, iż z braku powietrza duszono się tam prawie.

Jedenastu więźniów znajdowało się przy łańcuchu, do którego przykuto Koniecpolskiego.

Minął miesiąc.

Przeszedł drugi, trzeci, piąty.

Więźniowie nie wiedzą — dzień czy noc, lato czy jesień, bo u nich zawsze jedno i to samo: ciemno, zimno, głodno i smutno.

Gdyby jedna godzina, jeden kwadrans oddechu innem powietrzem!... jęczą i płaczą nieszczęśliwi niewolnicy...

Gdyby jeden dzień, pół dnia w jasności słońca i w cieple jego promieni, mówią niewolnicy.

Lecz darmo.

Więzienie głębokie.

Więzienie ciemne.

Więzienie zamknięte na mocne zamki.

Aż pewnego razu przychodzi do więzienia dozorca i powiada:

— Czy jest między wami kto, co umie naprawiać zegary? Na wieży, wysoko, znajdują się cztery zegary. Jeden zepsuł się od kilku dni, nikt nie umie naprawić.

— Ja uczyłem się zegarmistrzostwa, gdym był młodzieńcem — odzywa się Koniecpolski.

— O, chodźże na wieżę i popatrz, może naprawisz, co zepsute.

I oto łańcuch się odpina i drzwi się otwierają, owiewa go tchnienie wiosennego powietrza, piersiom robi się lżej...

Coraz jaśniej!

— Wielki Boże! dzięki Ci! oto słońce widzę! Jasne, piękne słońce opromienia ziemię dokoła i ja, biedny, skuty więzień, wyprowadzony jestem z ciemnicy, czuję świeży oddech, czuję ciepło słoneczne, widzę jasność dookoła...

Koniecpolski rozradowany idzie na wieżę, ogląda zegar, poprawia, obejmuje wzrokiem widnokrąg daleki i błogosławi te chwile młodzieńczych lat, w których się uczył zegarmistrzostwa.

— Gdybym mógł — szepce do siebie — złociłbym te ręce zegarmistrza starego, które mi pokazywały, jak się kółka składają, jak się sprężyny dobierają...

Lecz oto trzeba wracać z wieży i wejść znowu do ciemnego więzienia.

Jakaż to myśl ciężka i ponura!

Koniecpolskiemu przychodzi myśl prędka. Do drugiego zegaru zwrócił się, dotknął ręką i szedł z wolna z dozorcą na dół.

Na drugi dzień rano przychodzi dozorca:

— Drugi zegar zepsuł się, stoi, chodźcie naprawić.

Uszczęśliwiony Koniecpolski wychodzi. Znów oddycha świeżem powietrzem, znowu świeci słońce jasne.

Lecz gdy miał wracać, zaglądnął do zegara trzeciego.

Ani się domyślił dozorca, dlaczego nazajutrz znów inny zegar iść nie chciał.

To biedny więzień, Polak, umyślnie kołki wysuwał, ażeby mógł iść naprawiać, ażeby ujrzeć słońce, rozgrzać zziębłe członki i odetchnąć świeżem powietrzem.

Przez parę dni wychodził Koniecpolski z więzienia, a wszyscy inni zazdrościli mu szczęścia i tego, że umiał zegary naprawiać.

— Widzicie! — mówił hetman do współwięźniów nikt jeszcze nie żałował, iż się nauczył jakiej pracy, tak i ja nie żałowałem nigdy, iż mnie ojciec przyzwyczajał do rozmaitych zajęć.

— — — — — — — — — —

Wkrótce potem przysłano ogromną sumę pieniędzy, jako wykupno Koniecpolskiego z niewoli. Wrócił on do Polski, został wodzem wszystkich wojsk Rzeczypospolitej; zasłużył się jako dzielny obrońca kresów. Pobił Tatarów pod Dźwinogrodem i pod Martynowem, w rok zaś potem pokonał ogromne wojska pod Ochmatowem. Przez 4 lata walczył z królem szwedzkim, Gustawem Adolfem. Zmarł r. 1646 w Brodach.

A między nami nie jeden raz słychać narzekania na szkoły i nauki. Po co tyle uczyć się? pytają się ci i owi. Takim ludziom odpowiadamy:

Nikt nie żałował — jeśli pracował.
Wiedzieć się to godzi — nauka nie szkodzi.

Jadwiga S.

Zostać rycerzem.

Skoro zaświtało, król zerwał się z łoża przywdział szaty królewskie, włożył koronę i zasiadł na królewskiem krześle.

Nadszedł Sieciech w czapce z czaplem piórem, przyszli biskupi w kapłańskich szatach, przynieśli poświęconą szabelkę dla królewicza.

Przynieśli też Szczerbiec, szablę Chrobrego, wnet też otwarły się drzwi, a przez nie weszła królowa w bogatych, drogich i pięknych szatach. Prowadziła za rękę królewicza.

Królewicz wyglądał, istnie, jakby z jakiegoś anielskiego hufca był żołnierzem. Ubrany w białą koszulkę, w kolemdzie łuskowatej, w ciężkiej przyłbicy, piękny był, jak z obrazu aniołek, a długie złote włosy z pod przyłbicy mu się wysuwały.

Stanął w progu, a potem wyrywając się matce z rąk przybiegł do ojca, ukląkł i powitał go z uszanowaniem.

— Po co przyszedłeś? pyta król.

— Chcę zostać rycerzem, odrzekł królewicz.

— A na co chcesz zostać rycerzem?

— Chcę sławy mój ojcze.
— Nie uczyniszże nic przeciw dobrej sławie?
— Nie, panie ojcze!
— Przysięgasz królewiczu?
— Przysięgam!

Na te słowa król Władysław Herman, wziąwszy z rąk biskupów szczerbiec, uderzył nim trzy razy o przyłbicę dziecięcia, mówiąc: — W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, pasuję cię na rycerza. Ale pomnij synaczku, to jedyny zadatek rycerstwa, jakby w podobieństwie chrzest z wody. Musisz mieć najmniej lat szesnaście i zdziałać co rycerskiego, zanim naprawdę pasowany będziesz. Nie dosyć ochoty, trzeba roboty. Dobrze atoli, iż cię myśl do rycerstwa wiedzie, piękny i chwalebny to stan; w nim obrona, w nim pewność, w nim całość, w nim sława ludzka i krajowa. Dobrze, żeś pomniał, dzieckiem będąc, na sławę, bo ona ci przysmaki i ozdoby przyniesie, gdy mężem będziesz. Ale pomnij synaczku, niczem urodzić się do sławy i miłować ją, należy męstwem, roztropnością dostąpić jej, a najmniejszej rzeczy nie puścić mimo, któraby niesławę przynieść miała, bo szwank w tej mierze, a ustąpienie na lewo, by włos, wieczną sromotą pachnie.

— Nie potrzebuj mieć świadka twojego męstwa i cnych postępów. świadkiem najpewniejszym Bóg i sumienie własne. Kto jeno dla tego mężnie i poczciwie czyni, by od ludzi był widzian, niepewnej cnoty i sławy jest.

— Przypatruj się wszystkiemu synaczku, co jeno widzieć będziesz w tej wyprawie ze spraw rycerskich, a bierz wszystko w pamięć twoją. Widzeniem drugich wiedzących, ćwiczą się niewiedzący, a im ćwiczeńszy będziesz w tem rycerskiem rzemiośle, tem będziesz większej sławy godzien.

— Przypatruj się dużym rzeczom, bo ty synaczku mój, jeśli Bóg pozwoli, zasiądziesz po mnie na onej królewskiej stolicy, trzeba ci się wkładać, abyś z czasem hetmanić i wojska wieść umiał. Przypatruj się i drobnym rzeczom; jak się nauczysz żołnierki, hetmaństwo mądrzej przyjdzie.

— Wiedzieć sam masz o koniku twoim, o słudze, o swych rzeczach, abyś się wdrożył wiedzieć później o wojsku, o kraju, aby cię wcześnie lud poznał, żeś dbały w swoich sprawach i nie zależysz niczego.

— Przypatruj się na niewczasy, niewygody, zimno, słoty, przegłodzenie, bo obóz nie ojciec, a wojna nie matka, ale kiedyś chęcią wyniósł się nad wiek dziecinny, czyńże wszystko nad obyczaj tego wieku.

— Jak niebezpieczeństwa, tak przykrości i trudy wszelkie dziel z żołnierstwem. Serca prostaczkom słusznie pękają z żalu, kiedy oni głód mrą pod gołem niebem i zimne nocy trawią, a panowie hetmani i książęta opływają, jak pączki w maśle.

— Miej i to na pieczy, synaczku, aby z pochlebstwa kto dla twojej wygody nie zabrał niewinnych ludzi majętności. Łzy skrzywdzonych, jak głos o pomstę do nieba wołający, krzyczy. Wolę raczej byś z głodu przymarł i z koniem byś o jednej koszuli wrócił do domu, niżeliby głos niewinny miał na cię przekleństwo puścić.

— Nadobną układnością, poczciwem zachowaniem miłość wszystkich sobie jednaj; po bojaźni Boskiej, przyjaźń ludzka, skarb najdroższy.

— Pamiętaj na Boga; paciorka w obozie jak w domu nie opuszczaj, choćbyś go odmówił, konika dosiadłszy, przyjmie go Bóg i Święci Jego, jak gdyby od klęczącego w kościele.

— A teraz, synaczku mój najmilszy i jedyny, wiem, że nie tobie o ranę, bo ta łatwo się zgoi, nic o więzienie, bo z kim Bóg, ten nie zginie, nie o śmierć, bo wiem, że lepsza śmierć chwalebna, niż żywot sromotny, ale pomnij na starego ojca i bez potrzeby nie narażaj dziecięcego żywota. Ja tu z matką osierociały, bez syna mojego zostanę.

Tak powiedziawszy, stary król Władysław Herman, wziął z rąk Sieciecha szabelkę, wyostrzył ją kilka razy o szablę Chrobrego i dał synowi. Królewicz ujął ją w drobne rączęta, padł na ziemię, ucałował stopy ojcowskie, ścisnął matki kolana, biskupom — oddał pokłon i zawołał:

— Jestem rycerzem!

— Zostać rycerzem, mówi król, to przyjąć na siebie ciężkie obowiązki: To znaczy bronić prawdy, strzedz sprawiedliwości, znosić trudy i cierpienia, spełnić wszystko, co przyrzeczone, a w zamian nie żądać nic.

Bolesław ruszył z Sieciechem na wojnę i stał się rycerzem godnym tego imienia.

— — — — — — — — — —

Dziś, my inaczej dzieci w świat i w życie wyprawiamy. Nie uczymy ich, jak uczył król Władysław, aby stawali się rycerzami i obrońcami sprawiedliwości i prawdy... Nie uczymy, by wydźwignęli Ojczyznę z niewoli, lecz częstokroć radzimy, by rzucali ziemię rodzinną i szli w dalekie, obce strony — dla chleba.

PROSTY ŻOŁNIERZ.

Do Piotrkowa przyjechał 70-letni starzec. W mundurze, z bronią, siedział na koniu jako dzielny i doświadczony żołnierz.

— Jenerale! — mówi do dowódzcy pułku Krakusów — jestem Garczyński z Poznańskiego, staję do służby i proszę o przyjęcie. Oto mój syn, oto pięciu moich bliskich, którzy także na służbę Ojczyźnie spieszą.

Jenerał spojrzał zdumiony.

— Ci młodzi, rozumiem, iż spieszą, gdy Polska walkę rozpoczęła i broni się nieboga, ale pan... w tym wieku... w tych latach...

— Nie zważaj pan na moje siwe włosy, ani na moje czoło, poorane bliznami. Pod komendą Kościuszki służyłem, pod Dąbrowskim walczyłem, teraz staję pod wasze rozkazy.

— A więc dobrze, przyjmujemy... w jakiejże randze służyć Waszmość pragniesz?...

— Jako prosty żołnierz...

— Jako prosty żołnierz? Wszakże musiałeś pan mieć rangę wyższą, przyjmiemy z tym samym tytułem.

— Oto moje papiery!

— Jakto? Pułkownik z pułku Kościuszki, podprefekt z Księstwa Warszawskiego, teraz jako prosty żołnierz miałby być przyjęty?... Na to nie zezwolimy! Służbę W-nego Pana przyjmujemy z radością, zostawiając mu tytuł i godność z pułku Kościuszki.

A pan Garczyński rzecze na to:

— Nie przychodzimy po tytuły i rangi, ale idziemy, by spełniać służbę. Jako prosty żołnierz staję do szeregu wraz z moim synem, a gdy zwycięstwem ozdobimy nasze czoła, wtedy nasze papiery mogą być przyozdobione tytułami wyższych rang i stopni.

Było to w marcu 1831 roku.

Wkrótce potem krakusy ruszyli do boju, a 70-letni starzec, pan Garczyński, walczył wytrwale w szeregu żołnierzy.

Wieść o tem, iż był on pułkownikiem, rychło przebiegła wśród żołnierzy. I ten i ów oddawał należną cześć starcowi, który, nie zważając na lata, niósł ojczyźnie swą służbę wytrwałą.

— Pułkowniku! — szepce krakus — płaszcz wasz kulami podziurawiony... nie czujecie rany?

— Pułkowniku! — zwraca inny uwagę — wamby spocząć trzeba, tyle godzin, wasze siły nie starczą.

— Stoję z wami w szeregu i niczem innem nie jestem, jak prostym żołnierzem — odrzeknie Garczyński. — W obronie kraju, w pracy dla dobra narodu nie o to idzie, kto stoi wyższy czy niższy rangą, lecz co robi, ażeby wroga złamać, a naród podźwignąć. Jestem powstańcem, jak wy, i to jest moim tytułem najcenniejszym, iż trwam w służbie, choć włos mam biały, czoło poorane i barki pochylone...

— — — — — — — — — —

Dzisiaj takich ludzi mało.

Dzisiaj każdy pyta się, gdy go wzywają do służby w narodzie:

— A czem ja będę?

— Ja chcę być posłem!

— Ja chcę być naczelnikiem!

— Ja chcę być radnym!

A któż powie:

— Chcę być prostym żołnierzem na szańcach obronnych i chcę trwać w służbie, dokąd sił i życia starczy!... *Jadwiga S.*

Zwierzęta pożyteczne (Kret).

Zima tegoroczna trzymała się długo, ale i ona kończy się już nareszcie. Nadciąga wiosna z ciepłem i zaczynają prace po polach i ogrodach. Przy kopaniu grządek można natknąć się nieraz na kopczyki, usypane przez kreta, jak również przyłapać i jego samego.

Niewesoły bywa wówczas los tego mieszkańca podziemia. Oślepiony blaskiem słonecznym, oszołomiony obecnością ludzi, kret nie wie, co robić ze sobą, ani dokąd uciekać. Ludzie zaś nie witają go zazwyczaj zbyt chętnie i jeśli tylko złapią, zabijają go zwykle.

Czyż słusznie tak robią?

Posłuchajmy zarzutów, stawianych kretowi i sprawdźmy, o ile są one uzasadnione.

Szczególnie niechętnie usposobieni dla kreta ogrodnicy. Zarzucają mu oni, że sypaniem kopców psuje wygląd grządek, a oprócz tego niszczy przy tem młode roślinki, starym zaś podgryza i zjada korzenie.

Nie można zaprzeczyć, że kopczyki kreta są rzeczą całkiem zbyteczną na grządkach i nie zdobią ich wcale. A i kosiarz na łące krzywi się na nie porządnie, ponieważ utrudniają mu one koszenie.

Nie jedna też, młoda roślinka padnie przy tem ofiarą i zwiędnie, gdy ją kret podważy, przy kopaniu w ziemi. To jest również prawdą.

Za to nie ma najmniejszej racyi zarzut, że kret podgryza korzonki i karmi się nimi. Może on go przegryzie niechcący, gdy ryje w ziemi, ale jeść go nie będzie napewno.

Wystarczy obejrzeć uważnie zęby kreta, aby odrazu nabrać przekonania, iż stworzenie to nie może karmić się roślinami. Zęby zwierząt roślinożerczych są zwykle szerokie i płaskie, takie bowiem najlepiej rozcierają na miazgę pokarm roślinny. Takie zęby szerokie posiadają: koń, krowa, wiewiórka, myszy i inne stworzenia roślinożercze. kret zaś ma liczne, drobne, śpiczaste ząbki, takie same, jak sorki, a więc zdatnė do krajania na drobne kawałeczki mięsa lub miażdżenia twardej skórki owadów, ale całkiem nieodpowiednie do rozgniatania czegokolwiek.

Istotnie kret nie jada wcale roślin, chociażby był najbardziej głodny. Krety, trzymane przez ludzi w klatkach, ginęły z głodu, a nie chciały za nic tknąć korzonków, liści, owoców lub innych części roślin, które im obficie dawano do klatki. Rzucały się natomiast łapczywie na każdego pędraka, gąsienicę, owada, a także na myszy, jaszczurki lub inne małe zwierzątka.

Istotnie, pędraki, gąsienice i wogóle owady, stanowią główny pokarm kretów.

Każdy, kto bodaj raz kopał ziemię, wie o tem dobrze, ile w niej znajduje się różnego „robactwa", jak to mówią pospolicie, to znaczy, różnych pędraków i gąsienic. I to również jest wiadome, że właśnie te pędraki i gąsienice podgryzają korzonki różnych roślin i wyrządzają nieraz olbrzymie szkody. Tępienie tych szkodników, ukrytych w ziemi, nie jest wcale rzeczą łatwą.

To też trudnoby było ludziom dać sobie z nimi radę, gdyby nie pomoc kreta, który całe życie spędza pod ziemią i wyjada tam doszczętnie każdego pędraka, każdą gąsienicę, którą tylko znajdzie.

Ma on całą budowę doskonale zastosowaną do takiego podziemnego sposobu życia; ciało wałkowate, zakończone śpiczastym ryjkiem, wygląda niby świder do wiercenia dziór w ziemi; płaskie zaś i szerokie łapki, o tęgich pazurach, doskonale się nadają do grzebania ziemi. Malutkie oczka są zupełnie zakryte sierścią, bo zobaczyć niemi kret i tak nicby nie mógł w ciemności, zasypywałyby się zaś one ciągle ziemią, gdyby nie były zasłonięte. Do kierowania się przy kopaniu służy kretowi doskonały słuch i nadzwyczaj czuły węch, dzięki któremu wyczuwa on obecność pędraków i wie, w którą stronę kopać, żeby je znaleźć.

Te właśnie korytarze, którymi kret przerzyna ziemię we wszystkich kierunkach, stanowią miejsce jego na pędraki, gąsienice, a także dorosłe owady, o ile znajdują się w ziemi. Przebiega on taki korytarz, a po drodze zjada wszystkie stworzenia, jakie mu się nawiną. Nawet mysz lub jaki inny mały kręgowiec, jeżeli zabłąka się do korytarza kreta, zostaje przez niego schwytany i spożyty.

Kret więc jest bardzo pożytecznem stworzeniem, karmi się bowiem zwierzętami szkodliwemi dla nas. Pożyteczność zaś jego podnosi jeszcze ta okoliczność, że jest on nadzwyczaj żarłoczny i dorównywa pod tym względem najzupełniej sorkom. Zjada on dziennie co najmniej tyle, ile sam waży.

Pewien uczony trzymał krety w klatce i karmił je pędrakami chrabąszczów, oraz dżdżownicami. Przekonał się on, że jeden kret w ciągu 4 dni zjadł 432 pędraki i 250 dżdżownic: drugi zaś w ciągu 12 dni 872 pędraki i 540 dżdżownic.

Pamiętajmy przytem, że kret tępi szkodniki podziemne zarówno w lecie, jak i w zimie, nie zapada bowiem w sen zimowy; zakopuje się tylko głębiej, wówczas i w tych głębszych warstwach tępi dalej szkodliwe pędraki i gąsienice.

Można więc kretowi darować te roślinki, które uszkodzi tu i owdzie, kopiąc korytarze. Szkodę tę bowiem wynagradza stokrotnie temi krociami pędraków, które spożyje. I dlatego nie należy tępić kreta, lecz przeciwnie ochraniać go jaknajtroskliwiej i cieszyć się, jeżeli zjawi się w ogrodzie lub na łące. Stanowi to zawsze niezbity dowód, że rozmnożyły się już tam bardzo szkodniki owadzie; kret bowiem nie osiedla się nigdy w miejscowości, gdzie jest mało owadów.

O wielkiej pożyteczności kreta, przekonał się namacalnie pewien posiadacz dużego ogrodu w Anglii. Uważając, że krety niszczą mu młode roślinki w szkółkach, połapał on i pozabijał wszystkie krety, jakie znalazł w swym ogrodzie. Cóż się jednak stało? W parę lat szkodliwe owady tak się rozmnożyły w ziemi, że zniszczyły mu doszczętnie całe grządki z kwiatkami i młodemi drzewkami.

Kto zresztą chce się pozbyć kreta z danej grządki, na której jego kopce są zupełnie zbyteczne, naprzykład z rabatni kwiatowej, niepotrzebuje go łapać, ani zabijać — wystarczy włożyć do jego nory kilka główek śledzi, jaką inną rybę nie żywą, trochę przegnitej kapusty, dziegciu lub nafty; a kret, nie znoszący tych zapachów, ucieknie z pewnością.

B. Dyakowski.